Nr. 254. Kraków, niedziela 16 września 1906. Rocznik XV.

Prenumerata miesięczna:
z odsyłką 2 K, bez odsyłki 1 K 60 h;
za granicą 2 mk. 30 fen., 3 fr. 50 ctm., 2½ szyl., 70 ct. ameryk.
Prenumerata tygodniowa w Krakowie 40 hl.
Konto czekowe Nr. 834.095
Numer 8 h, poświąteczny 4 h.
Telefon redakcyi 396, administracyi 624.

NAPRZÓD

Organ centralny polskiej partyi socyalno-demokratycznej.
Wychodzi codziennie o godz. 7½ rano, a w poniedziałki i dni poświąteczne o godz. 10 rano.
Redakcya i administracya: Kraków, Sławkowska 29. Dział inseratowy: Poselska 15.

Ogłoszenia (inseraty)
kosztują od miejsca wiersza jednoszpaltowego drobnym drukiem (petitem) za pierwszy raz 20 halerzy, następny po 10 hal. — Nadesłane od miejsca wiersza drukiem petitowym po 40 hal. za każdy raz. Sluby, zaręczyny i nekrologi po 80 hal. od wiersza za każdy raz.
Załączniki (prospekty i t. d.) przyjmuje się za cenę 2 kor. za 100 egzemplarzy dla zamiejscowych, a 1 kor. za 100 egzemplarzy dla miejscowych prenumeratorów.
Reklamacye otwarte są wolne od opłaty pocztowej. — Redakcya rękopisów nie zwraca i bezimiennych listów nie uwzględnia.
Adres na telegramy: „Naprzód" Kraków.

W niedzielę dnia 16 września o godz. 10 rano odbędzie się

w Ujeżdżalni przy ul. Rajskiej

Zgromadzenie ludowe

z porządkiem dziennym:

Pluralne czy równe prawo głosowania?

Komitet miejscowy P. P. S. D.

„Taka drobnostka"...

»Koło polskie nie dąży do federalizacyi państwa, ani też do stworzenia nowych podstaw dla budowy tego państwa«. Tak uspokoił poseł Starzyński liberalnych Niemców co do zamiarów swego wniosku, ażeby komisya dla reformy wyborczej wybrała subkomitet celem określenia kompetencyi, które sprawy należą do parlamentu, a które do sejmów.

A na zarzut, że to sprawa ważna, odpowiedział wnioskodawca, że »parlament, który ma uchwalić reformę wyborczą, może załatwić i taką drobnostkę«, jak jego wniosek »autonomiczny«. Prezydent zaś ministrów bar. Beck dał do poznania, że może w tej sprawie wystarczyć i rezolucya, która wskaże życzenia »autonomistów« i wprowadzi pewne rozgraniczenie między sprawy parlamentu a sejmów.

Cała ta historya została oczywiście umówioną między rządem a Kołem polskiem i ma dwie strony. Jedna, to nadzieja wrogów reformy wyborczej, że za pomocą wysunięcia kompetencyi sejmów da się zwichnąć całą reformę, druga zaś, to chęć uratowania części władzy dla reakcyjnych sejmów na wypadek uchwalenia powszechnego i równego głosowania do parlamentu.

Pierwszy rachunek zawieść musi, bo sejmy są zupełnie odcięte od ludu, są albo wrogie ludowi, albo zupełnie obojętne, a co do drugiego, to reakcyoniści muszą być zdecydowani na to, **że po reformie wyborczej do parlamentu musi przyjść kolej i na sejmy.**

»Autonomia krajów« tak, jak ją proponuje szlachta, nie ma żadnej siły żywej za sobą. Jest ona niczem więcej, jak rządami kliki szlacheckiej, wyzyskującej ją jak »dojną krowę«.

Coraz wyraźniej występuje rozpadanie się jej na autonomię grup narodowych, czego dowodem są kurye narodowe na Morawach i w Czechach, walki w Tyrolu i w Galicyi. I nic dziwnego, że reprezentant socyalistów w komisyi głosował przeciwko wnioskowi p. Starzyńskiego, chociaż wnioskodawca nazwał go »drobnostką«. Obciąża on bowiem prace komisyi dla reformy wyborczej, stanowi zawsze dobry pretekst do intryg przeciw powszechnemu i równemu głosowaniu, a niczego właściwie nie rozstrzyga, bo samo przyznanie większej kompetencyi sejmom może być dla ludności raz pożyteczne, raz znów szkodliwe. Np. sejm galicyjski, obdarzony wielkiemi kompetencyami, a składający się z kilkudziesięciu familij szlacheckich i ich usłużników, może być twierdzą reakcyi i źródłem klęsk narodowych i ludowych, podobnie jak obszar dworski stał się rozsadnikiem szlachetczyzny i wstecznictwa w całym kraju.

Bez powszechnych i równych wyborów do sejmu, nic na świecie nie zdoła nadać temu dzisiejszemu kasynu szlacheckiemu siły politycznej w kraju. Najlepszym środkiem dla spotęgowania powagi i wpływu sejmu, jest właśnie reforma wyborcza do sejmu!

Ale tego nie chce Koło polskie! Ono raczej będzie krytym sztychem intrygowało w Wiedniu, aby nietylko uchylić się od reformy w kraju, ale jeszcze unicestwić reformę w państwie.

Gra za pomocą »drobnostek« p. Starzyńskiego jest na razie interesującą ze względu na najbliższe stanowisko Koła polskiego w komisyi wyborczej i w pełnym parlamencie. Autonomia kraju nie wiele z niej będzie miała.

Reforma wyborcza.

Zasada powszechności i równości prawa wyborczego uchwalona! — Kilka słów o nonsensie politycznym systemu pluralnego. — Inne sztuczki wrogów reformy wyborczej.

Komisya dla reformy wyborczej uchwaliła § 7 ustawy zasadniczej o reprezentacyi państwa w brzmieniu projektu rządowego; tem samem **komisya uchwaliła zasadę powszechności i równości prawa wyborczego**, zawartą w tym paragrafie.

W debacie nad tym zasadniczym paragrafem zapowiedział klerykał tyrolski Tollinger, że w debacie nad § 5 parlamentarnej ordynacyi wyborczej zgłosi wniosek o zaprowadzenie pluralnego systemu wyborczego. Już nawet pod względem formalnym jest to oczywisty nonsens. Ordynacya wyborcza jest tylko ustawą wykonawczą, nie może zatem znosić zasady, zawartej w ustawie zasadniczej, a tem mniej zawierać postanowień sprzecznych z ustawą zasadniczą, bo ustawa wykonawcza ma właśnie za zadanie normować wykonywanie zasady, wyrażonej w ustawie zasadniczej. Skoro więc w § 7 ustawy zasadniczej uchwalono równość prawa wyborczego, to § 5 ustawy wykonawczej nie może zawierać pluralności głosowania, lecz tylko przepisy o wykonywaniu równego prawa wyborczego.

Jest to tak jasne, że nie trzebaby się dłużej rozwodzić nad niedopuszczalnością wniosku o pluralnem głosowaniu po uchwaleniu zasady równego prawa. Ale wrogów reformy wyborczej nie obchodzi logika. Każdy nonsens dla nich dobry, byle się chyłkiem dało do reformy wyborczej przemycić cokolwiekbądź, coby unicestwiło istotę tej reformy.

Wniosek o wprowadzenie głosowania pluralnego jest jednak nietylko logicznym, lecz także politycznym nonsensem. Wprawdzie p. Tollinger nie powiedział jeszcze, jaki system pluralny ma na myśli. Są bowiem rozmaite systemy pluralne, jak wogóle rozum jest tylko jeden, a rodzaje głupstwa są niezliczone. Widocznie p. Tollinger wraz z Abrahamowiczem łamią sobie jeszcze głowy nad tem, jakiby system pluralny wybrać. Ale choćby nawet zdecydowali się na najłagodniejszą pluralność, żaden system pluralny nie jest możliwy. Jakie »argumenty« przytoczył przyszły wnioskodawca? Przedewszystkiem powiedział p. Tollinger, że system pluralny ma na celu »obronę interesów poszczególnych królestw i krajów«. Jest to frazes, w którym absolutnie żadna myśl się nie kryje. Jaki »interes« któregokolwiek »królestwa i kraju« ma »obronić« pluralność głosowania? Kraj Tyrol np., skąd p. Tollinger jest posłem, ma dostać 25 mandatów, królestwo Galicyi i Lodomeryi 113 mandatów: co zmieni w tem system pluralny? Czy przy równem, czy przy pluralnem prawie wyborczem nie będą te »królestwa i kraje« miały ani więcej, ani mniej mandatów. Na wyposażenie poszczególnych krajów w mandaty, na cyfrową siłę ich reprezentacyi w parlamencie pluralność głosowania w niczem by nie wpłynęła. Był to więc poprostu pusty frazes.

Ale p. Tollinger powiedział jeszcze, że pluralność ma też uwzględnić »interesy poszczególnych stanów«. Miał on tu na myśli interesy chłopów-gospodarzy, bo ulubionym argumentem klerykałów jest ten właśnie, że przy równem prawie wyborczem parobcy przegłosowaliby gospodarzy. »Argument« ten jest jednak tak pozbawiony wszelkich podstaw, że nawet większa część stronnictwa, do którego p. Tollinger należy, t. j. klerykałów niemieckich występuje przeciw pluralności. Zarówno główny przywódca klerykałów niemieckich, poseł dr. Ebenhoch, marszałek krajowy Górnej Austryi, jak i klerykali styryjscy, jak wreszcie antysemici wiedeńscy, którzy też są klerykałami, oświadczają się stanowczo za równością prawa wyborczego. Klerykalny dziennik styryjski »Grazer Volksblatt« cyframi rozbił w puch ową legendę, jakoby pluralność miała bronić »stan chłopski« przed przegłosowaniem przez parobków i robotników rolnych. Pismo to przytacza następujące cyfry ze statystyki urzędowej z r. 1900: W całej Austryi na 26,164.708 mieszkańców jest 13,709.204 osób zatrudnionych w rolnictwie. Z tych jest:

	2,164.582	samoistnych gospodarzy,
	3,934.722	członków rodzin, pomagających im w gospodarstwie
	4,200.623	pozostałych członków rodzin.
razem	10,299.927	interesentów samoistnych gospodarzy;
dalej:	64.667	oficyalistów z rodzinami,
	1,802.348	robotników rolnych z rodzinami,
	1,486.218	wyrobników dziennych z rodzinami,
	56.044	służby wiejskiej,
razem	3,409.277	interesentów niesamodzielnych rolników, czyli robotników rolnych.

Z powyższych cyfr widać jasno, że przy równem prawie wyborczem ani mowy niema o zmajoryzowaniu gospodarzy przez parobków i robotników wiejskich, bo przecież liczba gospodarzy jest trzy razy większa niż liczba robotników i służby w rolnictwie.

Widzimy więc, że jedyny »argument«, którym nasi galicyjscy klerykali wojują w obronie pluralności i którym się posługują niektórzy klerykali z niemieckiego centrum w Austryi (jak Tollinger, Hagenhofer, Etz) jest legendą, czyli mówiąc po polsku, zwyczajnem kłamstwem. To też tylko część klerykałów obstaje za pluralnem prawem wyborczem, większość zaś klerykałów, z drem Ebenhochem na czele, zwalcza system pluralny i oświadcza się za równem prawem wyborczem. Organ dra Ebenhocha »Linzer Volksblatt« przytacza z wydanego przez katolickie centrum w Niemczech leksykonu politycznego

---

MAKSYM GORKIJ.

KAPRYS LOSU.

Była to niedziela. Cała prawie wieś wyległa na ulicę, porosłą trawą i zarzuconą śmieciem.

Największa gromada skupiła się około domu starszyny*) wołostnego. Mężczyźni i kobiety to stali, to siedzieli, a dzieci biegały z przeraźliwym krzykiem.

W gromadzie tej znajdował się także jakiś nieznajomy, wysoki, z wielką brodą mężczyzna, stał on oparty o topolę. Z pod zniszczonego kapelusza wydobywające się siwe kosmyki włosów przekonywały, że miał około 50 lat z górą. — Ubrany był w rodzaj klasztornego habitu, przepasany powrozem, w prawem ręku trzymał gruby, okuty kij, lewą włożył w zanadrze.

Mieszkańcy wsi przypatrywali się mu podejrzliwie, ze złośliwością i pogardą, uszczęśliwieni, że pochwycono włóczęgę, zanim on komu uczynił krzywdę. Wchodząc do wsi, tu i owdzie przystawał, prosząc o kwas, bo był spragniony, ale ponieważ unikał rozmowy, nie posiadał przytem żadnej legitymacyi, zatrzymano go i starszyna postanowił go odesłać z upasem do wójta, a właściwie do naczelnika gminy. Posłano tedy po stróża i kiedy się pojawił, starszyna go zapytał:

— Co masz czynić?

— Odprowadzić tego włóczęgę do naczelnika gminy i przynieść pokwitowanie z odbioru.

— Masz już papiery?

— Schowałem je za pazuchę.

— Bardzo dobrze, a więc idź tedy z Bogiem.

— No, ojczulku — odzywa się Jefim, tak się nazywał stróż — zbierajmy nogi, czas nam iść.

— A możebym mógł być odwieziony?

— Odwieziony! Ho! ho! Gdybyśmy chcieli wszystkich tobie podobnych odwozić, toby i koni zabrakło. Najlepiej iść piechotą.

— Dalej, chodźcie, chodźcie! — woła Jefim. — Nie tak daleko, najwyżej dwadzieścia kilometrów. Pójdziemy sobie wesoło, potem będziesz miał czas odpocząć.

— Tak, pod zamkiem i ryglem — dodaje starszyna.

— Cóż to szkodzi? — wtrącił stróż. — Człowiek znużony śpi spokojnie pod zamkiem i ryglem. Zresztą podczas takich upałów jest tam przyjemnie i chłodno.

Obcy złowieszczym wzrokiem zmierzył stróża, ale ten uśmiechał się ze swego konceptu.

— No wreszcie idziemy, kochany człowieku. Bądźcie zdrowi, panie Wasilu Gawryłowiczu. Marsz!

— Z Bogiem, Jefimie, a pilnuj go dobrze!

— I sam miej się na baczności! — zawołał ktoś z gromady.

— Przecie nie jestem młodzikiem i dobrze wiem, gdzie raki zimują.

Trzymając się dla cienia pod domami, szli powoli. Naprzód postępował obcy krokiem pewnym, posuwistym, nawykły widać do długich, dalekich podróży, za nim kroczył z grubą pałką Jefim.

Ten ostatni był człowiekiem małym, korpulentnym, z blond włosami i takiegoż koloru brodą. Uśmiechał się nieustannie, ukazując żółte zęby, a czasami krzywił się tak, jakby mu zbierało się na kichanie.

Założył poły długiej sukmany za pas, żeby mu nie przeszkadzały w chodzeniu, czapkę bez daszka głęboko nasunął na czoło.

Więzień szedł, wcale nie zwracając na niego uwagi. Szli zwykłym traktem. Po prawej stronie ponad szczytami drzew jaśniała jaskrawo, oświecona promieniami słońca kopuła blaszana cerkwi, po lewej ciągnęły się pola błyszczące złocistymi kłosami zbóż.

Jefimowi wkrótce uprzykrzyło się milczenie, bo lubił dużo mówić. Wydał też kilka dziwnych głosów i ucichł.

— To nie idzie — rzekł sam do siebie. — Nie można śpiewać.

Wiszenki nauczyciel mówił mi nieraz: kto wiele śpiewa, mało robi.

— Kto? pyta obcy.

— Wiszenki nauczyciel.

— Czy tak się nazywał?

— Nie, ojczulku. Wiszenki jest wieś, nauczyciel zaś nazywał się Paweł Michajłowicz, umarł przed trzema laty.

— Młodo umarł?

— Mając zaledwie 30 lat?

— Z jakiej choroby?

— Ze zmartwienia.

Więzień uśmiechnął się boleśnie.

— Mogę ci ojczulku opowiedzieć jego historyę. Przez siedm lat był nauczycielem aż nareszcie zaczął kaszlać. Kaszel prawie pozbawiał go przytomności i wnet też zachorował. Pop go znieść nie mógł i doniósł, gdzie należało, że nauczyciel nie zna się z nikim, nie wychodzi do gości i chuda jak szczapa z ogromnym nosem nauczycielka. Paweł Michajłowicz zrozumiał co to znaczy, przeniósł się do szpitala i w pięć dni później oddał Bogu ducha.

Milcząc szli dalej, zbliżając się powoli do lasu. Był to las wielki i nie wydawał się niebieskawym ale zielonym.

— Czy musimy przejść las? pyta aresztant.

— Przejdziemy tylko bokiem... najwyżej po trwa to pięć minut. Dla czego się o to pytasz? Aha, rozumiem, jesteś podstępnym jak lis, ojczulku.

Jefim serdecznie się roześmiał.

— Dla czego?

— No, no, rozumiemy te sztuczki. Zachciało ci się przejść przez las. Czekasz tylko na to, aby wejść do lasu, a potem...

— Potem?

— Lepiej bądź cicho, jakbyś nie miał nic na myśli. Znamy to, powiadam ci. Tylko się mylisz mój braciszku... mnie to wcale nie trwoży, ja takich trzech jak ty jesteś mogę wziąć na jedną rękę... słyszysz?

— Osioł jesteś, odpowiedział krótko aresztant.

— Czy nie domyśliłem się, czego ci się zachciewa? pyta Jefim.

— Barania głowo i ja nie jestem taki głupi, odparł aresztant ze śmiechem.

— Do lasu! Do lasu! mruczał Jefim, nie ze mną takie sztuki, pałką w łeb i po wszystkiem.

— Nie bądź głupi, mówi aresztant, więc którędy pójdziemy?

— Którędy się zdarzy, którędy wypadnie... Tobie ucieczka na myśli, nie bój się, są na to sposoby. Myślisz że uciekniesz?...

— Więc?

— Już ci mówiłem.

— Ależ mój kochany ani mi w myśli nie postoi ratować się ucieczką... gdzież się schronię i po co, w jakim celu?

*) Tak nazywają w Rosyi wójta gminy lub sołtysa.

następujący ustęp przeciw systemowi pluralnemu:

„Powszechne, równe prawo wyborcze nie jest niczem innem, jak odpowiednikiem powszechnych obowiązków obywatelskich, politycznem równouprawnieniem wszystkich obywateli, pewnego rodzaju konsekwencyą powołania wszystkich do służenia państwu. Niezamożny podlega zupełnie tak samo jako zamożny powszechnemu obowiązkowi służby wojskowej, podatki pośrednie dotykają go równie, a może jeszcze dotkliwiej niż zamożnego; dla dobra powszechnego pracuje on tak samo w swoim zakresie jak członkowie klas posiadających, a czasem nawet stosunkowo więcej... Właściciel większego majątku korzysta daleko więcej z instytucyj publicznych, a majątek i wykształcenie same już dają większy wpływ na szersze koła ludności. Pogląd, jakoby wykształcenie i własność miały dawać większe prawo wyborcze, polega na zupełnie fałszywych, nie wytrzymujących krytyki podstawach i słusznie powiada Windthorst, że pieniądz jest to „najbardziej rozkładczy czynnik świata“, a próba skorygowania powszechnego prawa wyborczego workiem pieniężnym jest najniebezpieczniejsza“.

Istotnie, pluralne prawo wyborcze jest ustanowieniem bezwzględnego panowania worka pieniężnego, jest niesprawiedliwością klasową jeszcze gorszą niż kurye, jeszcze namacalniejszą, bo w kuryach niesprawiedliwość jest osłonięta, a w systemie pluralnym krzywda ludu paraduje w całej swej cynicznej nagości, zrozumiała i jasna dla każdego, podburzająca nawet najciemniejszych.

A jaki wogóle cel miałby system pluralny, skoro się robi reformę wyborczą na to, aby prawodawstwo złożyć w ręce ludu? Wszak właśnie pluralność, choćby najskromniejsza, choćby przyznająca klasie posiadającej tylko po 2 głosy, wyzułaby z prawa wyborczego całą klasę pracującą, odebrałaby robotnikom nawet tę odrobinę reprezentacyi parlamentarnej, jaką im dała V kurya. Bo klasa posiadająca i nieposiadająca stanowią w Austryi, wedle statystyki, dwie mniej więcej równe połowy. Wszelka zatem pluralność oddałaby bezwzględnie wszystkie mandaty klasie uprzywilejowanej. I dlatego system pluralny jest polityczną niemożliwością, którą propagować może tylko bezmyślny ignorant, albo — zdecydowany wróg wszelkiej reformy wyborczej.

Wprost zabawne swoją... naiwnością są wiedeńskie „informacye polityczne“ „Czasu“, w których mówi się o systemie pluralnym jako o rzeczy zupełnie możliwej. Komisya dla reformy wyborczej — zdaniem polityka z „Czasu“ — opracowała dotąd „tylko“ rozdział mandatów, a teraz zabierze się do zasady. I zdaje się temu politykowi, że może ona teraz wprowadzić zasadę, jaką zechce, np. pluralną. „Tylko“ mandaty! Ładne „tylko“! Przez 34 posiedzeń „tylko“ mandaty! A teraz cały ten rezultat 34 posiedzeń i całego szeregu żmudnie doprowadzonych do skutku kompromisów — kopnąć i zacząć to wszystko na nowo od początku! Wszak wszystkie kompromisy co do mandatów i cały rozkład okręgów wyborczych dokonane zostały na zasadzie równego prawa wyborczego. Pluralność zmieniłaby gruntownie fizyognomię okręgów czesko-niemieckich, polsko-ruskich, niemiecko-słoweńskich, słoweńsko-włoskich. „Tylko“ tyle! Nikt rozumny nie uwierzy zatem, żeby możliwem było to, co pisze „Czas“, a co równałoby się zniweczeniu całego dotychczasowego rezultatu pracy nad reformą wyborczą, rozbiciu całego dzieła reformy wyborczej.

Czy dziś jeszcze ktokolwiek może się łudzić, że to dzieło można będzie rozbić? Nie, a jednak nie ustają intrygi. Wszystkie one jednak rozwiewają się jak mgła wobec doniosłości chwili i sprawy. Wszystkie wnioski uboczne, mające za zadanie przewlec reformę lub przystawić jej stołek — rychło maleją do rozmiarów muchy na ogonie konia.

Np. wniosek o przyznanie kobietom prawa wyborczego, zgłoszony przez zdecydowanego przeciwnika reformy wyborczej, nie był niczem innem, jak demagogią. Wprawdzie jesteśmy zasadniczo za prawem wyborczem dla kobiet i tow. dr. Adler powiedział to w komisyi, ale wniosek ten nie miał przecie najmniejszych szans i był tylko sztuczką celem przewleczenia dyskusyi. Wniosek posła Starzyńskiego, tę wielką armatę, z którą ruszyło Koło polskie do boju, — sam wnioskodawca był zmuszony nazwać „drobnostką“...

Wszystkie te sztuczki wrogów reformy wyborczej muszą spalić na panewce.

A przeciw pluralnemu systemowi lud zaprotestuje z całą energią i zwycięsko odeprze ten zamach na swoje prawo, jak odparł już próbę przemycenia pośrednich wyborów.

Baczność Robotnicy lwowscy!

W przeddzień otwarcia parlamentu odbędzie się **we Lwowie w poniedziałek 17 września**

sześć zgromadzeń ludowych

z porządkiem dziennym:

Pluralny system wyborczy a socyalna demokracya.

Zgromadzenia odbędą się w następujących lokalach:

Dla towarzyszy dzielnicy I.: w sali stow. metalowców, Pasaż Mikolascha, o godz. 7 wieczorem.

Dla towarzyszy dzielnicy II.: w stow. kolejarzy, Gródecka 99, o godz. 6 wieczorem.

Dla towarzyszy dzielnicy III.: w sali stow. rzeźników, ul. Marcina 27, o godz. 7 wiecz.

Dla towarzyszy dzielnicy IV.: w restauracyi ul. Łyczakowska 84 o godz. 7½ wiecz.

Dla towarzyszy dzielnicy V.: w lokalu stow. »Zgoda«, Skarbkowska 16 o godz. 7 wiecz.

Dla towarzyszy żydowskich: w lokalu sekcyi żydowskiej P. P. S. D., plac Maryi Śnieżnej l. 5 o godz. 7½ wiecz.

Lwowski Komitet P. P. S. D.

Echa pogromu w Siedlcach.

Jak zapewnia pismo żargonowe „Weg“, zostało podobno ujawnione, że **pierwszy strzał do wojska**, który wywołał strzelaninę, dać miał **urzędnik Wasilewskij**. Znaleziono u niego rewolwer. Liczba ofiar nie została dotąd ustalona.

Urzędowe raporty notują 53 zabitych i 135 rannych; prywatne informacye podają liczbę zabitych na 142, a rannych na 450 w szpitalach i około 300 w więzieniu.

Urzędowe raporty tak obliczają straty w budynkach: zniszczono salwą armatnią 2 domy, spłonęło domów 11, zniszczono 46 sklepów i 38 mieszkań; nadto mnóstwo domów jest uszkodzonych strzałami. Do tego dodają źródła prywatne: Ilość rozbitych sklepów przy ul. Jatkowej, Warszawskiej, Ogrodowej, Pięknej, na Placu Targowym 70; mieszkań 120. Budynków uszkodzonych zewnątrz jest 200, zrujnowanych lub spalonych 31. Do domów na pół zrujnowanych należy także bóżnica.

Źródła urzędowe stwierdzają, że piechota wystrzelała 2.000 nabojów, artylerya dała 8 salw. Prywatne informacye mówią o większej liczbie wystrzałów.

Wiele scen, które teraz podaje prasa warszawska, jaskrawemi barwy malują okrucieństwo i zezwierzęcenie „dzielnej“ armii rosyjskiej, która tak ładnie umie zmykać przed Japończykami, a tak dzielnie za to nacierać na bezbronnych żydów.

W dzielnicy miasta, zwanej Błoniem, dzierżawił ogród owocowy Abraham Kryształ. Mieszkał w szałasie, w ogrodzie. W niedzielę po południu wpadli, wyłamawszy parkan, do sadu, żołnierze, wyciągli dzierżawcę z pod krzewów, gdzie się ukrył i zamordowali, rozbijając mu czaszkę. Następnie na zwłokach ustawili stół i rozpoczęli... ucztę owocową.

Mordka Goldberg wyszedł w nocy, z niedzieli na poniedziałek z bramy domu przy ulicy Pięknej, by przedostać się do ubocznego domu, gdzie mieszkali jego rodzice. Chciał pożyczyć kawałek chleba: Żonie, karmiącej niemowlę, zabrakło pokarmu; starsze dzieci płakały z głodu. Szedł chyłkiem pod ścianą, lecz mimo nocy ciemnej i zachowywania ostrożności, dostrzeżono go. Jeden z napastników powalił Mordkę na ziemię, stanął mu na piersiach i strzałami rewolwerowymi, mierzonymi w nogi, strzaskał nieszczęśliwemu piszczele. Nad ranem zwłoki umieszczono w piwnicy.

Mordka Ber Joelson, biedny stolarz. Przez 36 godzin maleńkie dzieci jego nie jadły i nie piły. Biedactwa umierały z pragnienia. Zrozpaczony ojciec ryzykuje życie i z kubłem udaje się pod gradem kul po wodę na drugi koniec ulicy. Z tryumfem wnosi wodę do bramy swego domu. Kazano mu ją wylać i jedenaście razy chodzić za karę w to samo miejsce z kubłem do studni, poczem po zalaniu całego podwórza kubeł rozbito. A dzieci płakały z pragnienia.

Oczywiście, jak zawsze w Rosyi, od wszystkiego można się wykupić łapówką. Spotykam starego, poważnego żyda — pisze korespondent „Nowej Gazety“. — „Panie — mówi, patrząc martwo na mnie — życie moje jest warte 35 kopiejek“. — „?“. — „Gdybym nie miał tej sumy, byłbym dzisiaj razem z nimi“. — Tu wskazał na szereg zeszpeconych trupów, leżących pod parkanem cmentarza żydowskiego.

Dzień 12 b. m. minął w Siedlcach spokojnie, na ulicach przywracany jest stopniowo porządek. Ruch uliczny powoli wzrasta, sklepy częściowo są otwierane. O zmierzchu jednak ruch znowu zamiera prawie zupełnie.

* * *

„Kuryer warszawski“ zamieszcza następującą odezwę:

„Rozegrała się jedna z najkrwawszych scen w tej okropnej tragedyi dziejowej, która przesuwa się przed naszemi oczami. Nową jej areną są Siedlce, ociekające krwią, wołające do Boga straszliwem milczeniem trupów, jękami setek rannych, łkaniem sierot, rozpacznemi zgrzytami nędzy i głodu. Dekoracyą tego obrazu są zgliszcza spalonych i zbombardowanych domów, rumowiska rozgrabionego mienia, krwawe kałuże w całych dzielnicach, łzy we wszystkich oczach, zgroza i przerażenie we wszystkich sercach. Na scenie dziejów niewiele podobnych widzieliśmy tragedyj.

Historya wyda sąd o ich reżyserach, pozbiera łzy i krew i naniże jak z paciorków różaniec ludzkiej krzywdy i niedoli, aby zawiesić go u tronu Wszechsprawiedliwości. Dla nas, przerażonych widzów tego dantejskiego obrazu, nie pora do takiej jego oceny, na jaką zasługuje; naszym pierwszym obowiązkiem nie przeżuwanie okropnych wrażeń, lecz pomoc dla ofiar katastrofy, którą duchem współprzeżyliśmy, odczuwszy każdy spazm rozpaczy i każdy jęk cierpienia naszych nieszczęśliwych bliźnich.

Poprzez krwawe opary, unoszące się jeszcze nad miastem, wyciągają oni do nas swe drżące dłonie, a straszliwą wymową swych rozbitych egzystencyj krzyczą do naszych serc o pomoc.

Nieśmy ją czem prędzej, podzielmy się kęsem chleba z tymi, którzy niewiadomo za jakie winy w tak okropny sposób utracili całą chudobę i obecnie głód cierpią. Nie bądźmy tylko widzami tej tragedyi, lecz spieszmy z pomocą w nieszczęściu, które dotyka wszystkie dzieci tego skrwawionego szmatu ziemi i wszystkie serca, mające choć iskrę ludzkości, miłosierdzia i sprawiedliwości.

Składajmy, co kto może, na ofiary siedleckie!“

* * *

Warszawski komitet P. P. S. wydał z powodu pogromu siedleckiego następującą odezwę:

Towarzysze!

Najkrwawsze zbrodnie, któremi dotychczas katowski rząd odpowiadał na ruch rewolucyjny, bledną wobec dzikiej, ludożerczej orgii siedleckiej.

Wszystkie szubienice, egzekucye, pogromy, nawet zwierzęce rozbestwienie oddziałów karnych mogą jeszcze być poczytywane za barbarzyńskie przejawy jakiegoś potwornego systemu represyi, za piekielne sposoby walki z rewolucyą.

Ale to co w dniach ostatnich działo się w Siedlcach: skazywanie całego miasta na zagładę, bombardowanie domów, w których być może są rewolucyoniści, wydanie życia, czci i mienia dziesiątków tysięcy spokojnej ludności na mord i łup pijanej krwią i wódką zgrai żołdackiej, z takim rozmysłem szatańskim przygotowywane rozpasanie krwiożerczości, podsycanie szału drapieżnego i instynktów grabieżczych regularnego wojska — bez jakiegokolwiek powodu — wydaje się jakaś obłędną rzezią herodową, urągającą wszelkiej rzeczywistości i wszelkiemu pojmowaniu.

Towarzysze! Męczeńskie pobojowisko Siedlec woła nas! Gruzy siedzib ludzkich, niepomszczona dotąd krew młodzieńców, katusze bezczeszczonych kobiet, jęki torturowanych i kaleczonych starców i dzieci, bezgraniczna nędza i niedola, jakie stały się udziałem ludności i tak już znękanej nędzą i niedolą — cała groza ostatnich wypadków budzi nas — rewolucyonistów.

Nie boleć i biadać nam, nie rozpacznie ręce załamywać, nie poddawać się panice!

Do ofiar i męczeństw przywykliśmy. W codziennych kaźniach proletaryat zahartował się i umie już patrzyć śmierci wprost w twarz.

Z mogił siedleckich idzie donośny a święty głos: Nie ustawać!

I nie ustaniemy w swej walce, dopóki carat ostatnim wiernym sobie pułkiem rozporządza.

Do szeregów rewolucyjnych towarzysze! Skupiajmy swe siły, zagrzewajmy się wzajem, nie dajmy nikomu zwątpić!

Rewolucya coraz bliższa zwycięstwa. Żadne zbrodnie nie pomogą caratowi.

„Co złe, to w gruzy się rozleci.
„Co dobre, wiecznie będzie żyć“.

Do nowych więc ofiar, do nowych czynów, do nowych bohaterstw — bo ta jest droga ostatecznego zwycięstwa.

Niech żyje rewolucya!

Warszawski Komitet Robotniczy Polskiej Partyi Socyalistycznej.

Warszawa, 13 września 1906 r.

— Gdziekolwiekbądź człowiek się ratuje jak może, zawsze się znajdzie miejsce na świecie.

— Więc ty żądasz, żebym uciekał?

— Dziękuję za ten przysmak. Piękny interes ani słowa. Ty sobie drapniesz; śmiejąc się w kułak a mnie zasadzą do ciupy. Wcale nie życzę sobie tego. Pytam się tylko co zamyślasz?

— Jesteś głupi ale i wesoły.

— Powiedziałeś prawdę. Nie jeden mówi, że jestem ciemny jak słup, ale nie mają wcale racyi. Jestem otwarty i prosto myślący, co w myśli, to na języku. Inni wchodzą przez zamknięte drzwi, z tyłu, ukradkiem, ja tego nie lubię. Nie mam ani jednego człowieka życzliwego dla siebie i umrzeć muszę jak każdy, czy on chytry, czy szczery. No, no, lepiej idź swoją drogą.

— Dobrze mówisz.

— Bo po co chodzić krętemi drogami. Jestem swoim własnym panem i mogę żyć jak mi się podoba. Tak. Jak się ty właściwie nazywasz?

— Johan.

— Czyś ty duchowny?

— Nie!

— Myślałem, żeś ty ksiądz.

— Czy z powodu mojego habitu?

— Tak. Wyglądasz, jak mnich, który zbiegł z klasztoru, albo jak ksiądz rozświęcony. Z twarzy przeciwnie podobny jesteś do żołnierza. Kto tam wreszcie zgadnie, kto ty jesteś.

Aresztant zdjął czapkę z głowy, otarł pot z czoła, a tymczasem stróż zapytał go:

— Czy palisz fajkę?

— Z przyjemnością.

Obcy wyjął z zanadrza duży worek z tytoniem i krótką glinianą fajkę.

— Bierz jeżeli chcesz? — rzekł.

Teraz dopiero obaj przystanęli, gdy stróż fajkę zapalił.

— To musisz być Małorosyanin?

— Nie, jestem szlachcic.

— Jakto? I nie posiadasz żadnych legitymacyj — mówi stróż mocno zdziwiony.

— Nie mam.

— To nie bardzo pochlebia twojemu szlacheckiemu pochodzeniu.

— No, dajmy pokój temu gadaniu.

Ciekawość Jefima, a raczej jego współubolewanie nad biedakiem tak było wielkie, że po chwili milczenia, znowu zaczął:

— Tak! Tak! Bywają na świecie osobliwe historye! Nie wątpię wcale, że pochodzisz ze szlachty — z postawy widać to wyraźnie. I dawno się tak błąkasz?

— Z niechęcią machnął aresztant ręką.

— Daj spokój, paplesz nieustannie, jak baba.

— Nie bierz mi tego za złe — rzekł Jefim słodkim głosem, nie myślę cię drażnić, lecz przeciwnie, boleję nad tobą, bo mam dobre serce. Mogę milczeć jeżeli tego żądasz koniecznie, ale się na mnie nie gniewaj, że ciągle mielę językiem.

Aresztant przystanął, zacisnąwszy zęby ze złością i patrząc na stróża z nienawiścią.

Ale to nie uczyniło najmniejszego wrażenia na stróżu i nareszcie obaj poszli dalej.

Twarz Jefima zdradzała, że nad czemś głęboko rozmyślał. Z roztargnieniem spoglądał na krążące w powietrzu skowronki, pogwizdywał po cichu i wybijał takt pałką.

Coraz bardziej zbliżali się do lasu. Stał on, jak wielki, ciemny mur; żaden głos nie dochodził z wewnątrz.

W tej ciszy głębokiej lasu, w tym poszepcie liści wydaje się jakby drzewa opowiadały dawne, zapomniane tajemnice. Zdaje się, jakby tam ciągle grało życie i na chwilę jedynie używało spoczynku — coś tajemniczego, jakby stamtąd naraz wypaść miała jakaś straszna wiadomość, jak gdyby natura zdradziła się ukrywszy w głębi coś przerażającego, niezwykłego, mogącego poruszyć cały świat.

Wszedłszy do lasu, obaj z wielką przyjemnością usiedli na trawie, aby wypocząć. Powoli obcy ze swego tłumoczka wydobył chleb, pytając:

— Czy nie chce ci się jeść?

— Owszem, przyjmę, jeżeli mię czem poczęstujesz — odpowiedział stróż.

I zaczęli jeść. Powoli i ciągle boleśnie wzdychając, jadł chleb zgłodniały stróż; gdy drugi daleko prędzej spożywał tę ucztę, głośno smakował językiem, krusząc chleb po kawałku. Panowało tu milczenie i cisza niezwykła. Na polach złociły się kłosy zboża, lekkie, białawe chmurki przesuwały się po niebie. Cień drzew ożywiał i obaj podróżni czuli swobodę niezwykłą.

— Dziękuję ci i Bogu — odezwał się stróż, zbierając starannie okruszyny chleba z ubrania. Bóg tak widać wszystko zrządził, że człowiek nieraz odczuwa jakiś spokój niezwykły w sercu lub tęsknotę. Czy chcesz tu jakiś czas pozostać? Mamy jeszcze dość czasu.

Obcy poruszeniem głowy dał znak zgody.

— Dobrze, to rozkoszne miejsce i dobrze mi znane. Tam stał zamek rodziny Tuczków...

— Gdzie? — zapytał obcy, mocno zaciekawiony i zwrócił się we wskazanym mu kierunku.

— Tam, poza rogiem lasu. Cała ta okolica do nich należała, ale kiedy nareszcie zniesiono pańszczyznę, zupełnie zbiednieli. Tak, tak, była to wielka rodzina, ale pułkownik i jego dzieci... czterech chłopców, gdzie się teraz znajdują? Co się z nimi stało? Znikli jak wiatr w polu. Nasz naczelnik gminy, do którego cię prowadzę, jest jedynym pozostałym z całego rodu. Już bardzo stary i siwy jak gołąb.

Obcy słuchał opowiadania ze szczególnym uśmiechem. Z piersi dobywały mu się jakieś ciężkie westchnienia, wstrząsające całą jego postacią.

Przerażony Jefim, pochwyciwszy swoją pałkę, zapytał?

— Czy cierpisz na napady?

— Nie, nie, to nic... to minie. Opowiadaj dalej.

— Tak mój kochany, niegdyś był tu zamek, była liczna, bogata rodzina, a teraz pozostało zaledwie tylko wspomnienie. Czy wymarli, czy zmarnieli, kto to wie — nikt już wcale o nich nie pyta. Był tam szczególnie jeden, Witty, najmłodszy, mój towarzysz dziecinny. Mieliśmy obadwaj wówczas czternasty rok, jak zniesiono pańszczyznę. Głowa zapalona, zapalona pałka... krzyczał, dokazywał, całymi dniami biegał, nie mogąc usiedzieć na miejscu. Gdzie on teraz może być? Być może umarł oddawna.

— Cóż w nim tak szczególnego przeważało? — pyta obcy.

— Wszystko — zawołał Jefim z zachwytem. — Miał serce jak złoto... i był piękny i luby jak fiołek. Cośmy się ze sobą nabawili, wiele spłatali figlów, żyliśmy jak rodzeni bracia! Bywało woła: Jefimie, pójdziemy na polowanie! Właśnie mu

Pułk ostrołęcki przeciw pogromowi.

Z Siedlec otrzymujemy niezwykle sensacyjne i zupełnie dotąd nieznane szczegóły o zakończeniu pogromu. — Wiadomości te brzmią:

Pułk ostrołęcki, który sympatyzował z ludnością i dlatego został mimo oporu przemocą translokowany z Siedlec, położył koniec pogromowi. Mianowicie na wieść o pogromie siedleckim, urządzonym przez pułk libawski, oficerowie i żołnierze pułku ostrołęckiego postanowili koniec położyć tej rzezi.

Dwie roty pułku ostrołęckiego wraz z oficerami samowolnie wsiadły na pociąg i przyjechały do Siedlec. Wobec stanowczej postawy zajętej przez ostrołęczan pułk libawski musiał zaprzestać pogromu.

Z obawy starcia wytransportowano pułk libawski z Siedlec (podobno do Sosnowca).

Żołnierze pułku ostrołęckiego zabili w Siedlcach prowokatora Wasilewskiego.

Z zaboru rosyjskiego.

Posiłki. — Nowe rozporządzenie. — Sołdateska. — Przygotowania na prowincyi. — Tępienie policyi. — Kłopot z banknotami.

Wobec uszczuplenia liczby policyantów, sprowadzono do Warszawy z Petersbuga 28 rewirowych i 100 stójkowych. Pozatem we czwartek wkroczyło do miasta kilka załóg prowincyonalnych.

Jedno i drugie ma niewątpliwy związek z planowanym przez Skałłona pogromem.

Represye, które mają właściwie znaczenie prób szykującego się na większą skalę rozboju, ostatnie zbogacone zostały nowym idyotycznym a dokuczliwym przepisem, wydanym d. 10 b. m. przez warszawskiego nadzbira.

»Wszystkie posterunki wojskowo-policyjne mają się składać najmniej z 1 policyanta i 4 szeregowców.

Posterunki należy umieszczać na skrzyżowaniach ulic, przyczem szeregowcy mają stawać na rogach ulic plecami do ścian domów i mieć baczenie nad tem, co się dzieje w pobliżu ich towarzyszów.

Posterunki są nieruchome, lecz według uznania naczelników okręgów mogą być przenoszone wzdłuż głównej ulicy w prawo lub w lewo z jednego skrzyżowania ulic na drugie.

Skupione rozmieszczenie posterunków jest surowo wzbronione.

Na wszystkich ulicach, z wyjątkiem Krakowskiego Przedmieścia, Nowego Świata, Marszałkowskiej i Alei Ujazdowskiej, posterunkowi mają żądać od wszystkich przechodniów, aby schodzili z chodnika z odległości 10 kroków od miejsca, gdzie stoi posterunkowy, oraz aby okrążali go ulicą bliżej jej środka, niż chodnika.

Dla oznaczenia miejsca, od którego wzbronione jest chodzenie po trotuarze, posterunki mają żądać od miejscowych stróżów, aby zagradzali chodnik jakiemibądź przedmiotami np. sznurkiem, baryerką, schodkami, deskami, położonemi na skrzynki i t. p.“

Przytaczając rozkaz powyższy, „Kuryer Warsz.“ zaleca czytelnikom, by wytłumaczyli dzieciom, jak mają zbaczać z chodników, aby z jednej strony ominąć posterunek, a z drugiej nie dostać się pod koła przejeżdżających dorożek lub wozów.

Do jakiego rozbestwienia dochodzi w Warszawie niższe i wyższe żołdactwo, świadczy przykład następujący. W redakcyi „Kuryera“ zjawił się p. Antoni Zubowicz, student wydziału lekarskiego, syn obywatela ziemskiego, cały potłuczony, ze skaleczeniem na policzku.

W poniedziałek ubiegły, o godzinie 10-tej wieczorem, przy zbiegu ulic Leszna i Żelaznej, patrol z dwoma oficerami zatrzymał dorożkę, w której jechał. Po zrewidowaniu przez żołnierzy, pokazał paszport jednemu z oficerów, który atoli oświadczył, że to dokument „podejrzany“ i kazał go zatrzymać. Wkrótce wraz z innymi aresztowanymi patrol ów odprowadził p. Z. do cyrkułu III, mimo, iż po drodze tłómaczył oficerowi, że niesłusznie go aresztował, bo ma dowody w zupełnym porządku. Gdy weszli w bramę, a potem na podwórze, w mgnieniu oka rzuciło się około 30 znajdujących się tam żołnierzy i zaczęli wobec obu oficerów bić aresztowanych kolbami, nahajkami i pięściami, oraz kopać nogami. Wyrwał się na chwilę bijącym i chciał wbiedz do cyrkułu, ale tu w drzwiach stało dwóch żołnierzy, którzy uderzeniami kijem w głowę powalili go na ziemię, a następnie jeden z nich kopnął go w głowę, mówiąc: „Nie udawaj“. Wstał i wszedł do cyrkułu. Tu na wstępie jakiś żołnierz uderzył go czemś twardem w twarz, aż upadł około stolika. Napół żywy usiadł na ławce. Wtedy inny żołnierz uderzył go dwukrotnie kijem przez plecy, mówiąc, aby wstał. Po zapisaniu do jakiejś książki, zaprowadzono p. Z. do aresztu, gdzie na progu znów dostał pięścią w głowę od żołnierza. Takiemu samemu mniej więcej losowi ulegli inni aresztowani. Na wszystko to patrzyli obaj oficerowie. O godz. 2 w nocy wypuszczono go z cyrkułu.

Można sobie z tego wyobrazić, na jakie barbarzyństwa zdobywają się żołdaki, działając nie pod okiem oficerów, lecz z własnej zupełnie inicyatywy. We wtorek np. na ul. Chmielnej omal nie padł od strzału karabinowego urzędnik kolei warszawsko-wiedeńskiej p. M., gdyż nie dosłyszawszy wołania za sobą sałdata, nie zatrzymał się. W porę jeszcze ocalili go przechodnie, krzycząc, aby stanął i ręce w górę podniósł. A szło o głupstwo. Sałdatowi nie podobał się ukłon pana M. Zaczął się protokół z przyłożonym do piersi karabinem od słów:

— Ty po czemu skinuł szlapu?

W sprawie b. posła Ostrowskiego nadeszły szczegółowe wiadomości:

Po zabiciu przez niewiadomych morderców pisarza gminy Uniwel, zjawili się w chacie Ostrowskiego dragoni i zażądali, żeby Ostrowski powiedział im, kto zabił pisarza. Gdy Ostrowski na pytanie to nie mógł odpowiedzieć, postawiono go pod płotem i oświadczono, że go rozstrzelają. Ostrowski prosił, aby pozwolono mu pomodlić się, poczem oznajmił, że jest gotów umrzeć. Wtedy nie zabito go, ale strasznie bito i pokaleczono. Przy tem miał być obecny oficer.

Leży on obecnie w szpitalu w Tomaszowie, a stan jego taki, że lekarze czynią nadzieję, że może wyzdrowieje.

Z prowincyi nadchodzą wiadomości pozwalające przypuszczać, że władze nietylko w Warszawie szykują pogrom. Dnia 13 bm., w czwartek, o godz. 5 po południu rozpoczęto w Płocku rewizye w mieszkaniach i zabudowaniach gospodarskich w dzielnicy żydowskiej. Cała dzielnica otoczona została przez piechotę i kawaleryę. Na ulicach odbywały się rewizye przechodniów. Jednemu z przechodniów odebrano czcionki drukarskie. 2 osoby zostały aresztowane. Rewizye zakończyły się o godz. 10-tej wieczór.

W Sokołowie jakiś prowokator dał do dowódcy ochrony wojskowej dwa strzały, które chybiły. (Te strzały zawsze chybiają — po tem je poznać.) Nazajutrz zapełniły mieścinę nowe oddziały wojska.

Mimo to wszystko tępienie policyi nie ustaje i ustać nie może. W czwartek w Łodzi do szpiclów Bogdaniewicza i Orłowa kilku ludzi dało 6 strzałów rewolwerowych celnych i położyło ich trupem. Na odgłos strzałów rewolwerowych nadbiegło grono kozaków i piechurów, którzy otoczyli dom Nr. 14 i kilka innych obok, dokonali w nich ścisłej rewizyi i aresztowali kilku sutenerów.

W Zgierzu we środę o godz. 4-ej po południu zastrzelony został dwiema kulami rewolwerowemi Stanisław Nowakowski b. sekretarz policmajstra. Sprawcy zbiegli.

We wtorek ubiegły w Chęcinach pod Kielcami zabito strażnika ziemskiego. Sprawca uciekł.

Izba skarbowa znów we czwartek zakwestyonowała 500-rublówkę, którą tym razem płacił urzędnik Banku Handlowego. Urzędnika zaaresztowano pod zarzutem, że 500-rublówka pochodzi z pieniędzy, zrabowanych w pociągu kolei wiedeńskiej pod Pruszkowem. Płacący urzędnik Banku Handlowego zdołał udowodnić, że banknot 500-rublowy otrzymał z Banku Państwa. Tylko dzięki temu urzędnika uwolniono, banknot jednak zatrzymano.

W takich okolicznościach — pisze „Nowa Gazeta“ — obieg banknotów 500-rublowych staje się zupełnie niemożliwym. Każdy, kto je w wypłatach otrzyma, będzie narażony na aresztowanie i śledztwo. Podobno w swoim czasie ogłoszony został wykaz numerów owych zakwestyonowanych banknotów, ale nikt owego wykazu nie zna, nie opublikowano go nawet urzędownie w prasie. Gdyby jednak nawet był ogłoszony publicznie, i tak przy szybkim obiegu biletów bankowych trudno byłoby nie narazić się na otrzymanie w wypłatach banknotu zakwestyonowanego.

* * *

Uprowadzenie więźniów.

Dzienniki warszawskie podają opis sensacyjnego napadu na zakład obłąkanych, celem uwolnienia umieszczonych tam dla obserwacyi więźniów.

W ubiegłą sobotę o godzinie 7 wieczorem, przed główny pawilon szpitala dla obłąkanych w Tworkach pod Warszawą, zajechała nieduża furka, z której wysiadło czterech przyzwoicie ubranych mężczyzn. Przybyli, zapytywani przez portyera, czego chcą, pominęli jego słowa milczeniem, wyjęli z kieszeni rewolwery, i pod groźbą natychmiastowej śmierci zmusili struchlałego do milczenia. Po ustawieniu warty przy wejściu, nieznajomi widocznie obeznani z rozkładem szpitala w Tworkach, udali się pospiesznie do oddziału dla mężczyzn, w którym byli trzymani oddani pod obserwacyę lekarską więźniowie polityczni Kożuchowski i Sokulski. Terroryzując spotykaną po drodze służbę szpitalną rewolwerami, napastnicy wyprowadzili z sobą dwóch więźniów, wsiedli na furmankę i odjechali w kierunku pobliskiego lasu. Cały napad i uprowadzenie było wykonane z tak błyskawiczną szybkością, że zanim administracya i służba szpitalna oprzytomniała, wózek znikł już w kłębach kurzawy. Z rozporządzenia naczelnego lekarza zawiadomiono o zajściu najbliższego przedstawiciela policyi, który niezwłocznie zarządził pościg i wysłał w kierunku lasu policyę z wojskiem. Jednakowoż pościg był już spóźniony. Ślady wózka zatarły się w grząskim gruncie łąki, którą otoczony jest szpital. Poszukiwania, wdrożone przez policyę warszawską, również nie naprowadziły na trop śmiałych napastników.

Przegląd polityczny.

Kongres socyalno-demokratycznej partyi rebotniczej rumuńskiej odbył przed kilku dniami swoją dwudniową konferencyę w Bukareszcie. Ze sprawozdania partyjnego okazuje się, że w Rumunii istnieje obecnie przeszło 30 organizacyj robotniczych z 3000 członków. Partya ma na swe usługi tygodnik, a dotąd wydała cały szereg broszur i pism ulotnych.

W dyskusyi okazało się, że już w pierwszym roku swego istnienia socyalno-demokratyczne związki prowadziły wiele strejków ze zwycięskim rezultatem, a wiele znów strejków, które wybuchły bez inicyatywy partyi, doznawały usilnego poparcia ze strony związków zawodowych.

Ostatni kongres jest znakiem ożywienia partyi po 7-letnim okresie uśpienia, w którem partya doznawała różnych szykan ze strony rządu. W ostatnim czasie wszczęła partya żywą propagandę między chłopami na wsi.

Socyaliści w parlamentach europejskich. Ostatni zeszyt miesięcznika „Sozialistische Monatshefte“ zawiera zestawienie liczby przedstawicieli socyalizmu w centralnych parlamentach europejskich, które i dla naszych czytelników będzie interesującem. Ujęte jest ono w tabelkę, którą poniżej zamieszczamy:

Kraj	Ilość posłów ogółem	Ilość posłów socyalistów	Odsetek socyalistów w parlamencie
Dania	114	24	21,1
Niemcy	397	78	20,2
Belgia	166	30	18,1
Francya	584	76	13,0
Holandya	100	7	7,0
Szwecya	230	13	5,7
Anglia	670	30	4,5
Norwegia	117	5	4,3
Włochy	508	21	4,1
Austrya	425	11	3,4
Szwajcarya	167	2	1,2
Serbia	160	1	0,6

Okazuje się, że odsetek socyalistów jest największy w maleńkiej Danii, drugie dopiero miejsce zajmują Niemcy. Wpływ jednak socyalistów w poszczególnych parlamentach nie wszędzie jest odpowiedni do ich liczebności.

SKŁADKI.

Na fundusz prasowy „Naprzodu“ złożyli: Regina Żeleźnik 2·—. Drukarze wiedeńscy 250·—. Bittmar, Prądnik Czerwony 10·—. Dawny sekretarz „Siły“ krakowskiej 4·—. Stowarzyszenie stolarzy, Kraków 30·—. Statut —·12. Przez tow. Daszyńskiego 330·—. Przez Polę zamiast szpery —·20. Mecenas 80·—. Sułczewski —·40. Kulman za marki 17·05. Dr G. 250·—. Okólnik —·20. Dr J. 200·—. Robotnicy Grupy metalowców w Przemyślu 10·20 Ogólne 1.70.

---

ojciec w dniu imienin podarował strzelbę. Dwa, trzy dni pozostajemy poza domem, a kiedy wróciliśmy, on otrzymał burę, a ja kije.

Nazajutrz mówi on do mnie: Jefimie, pójdziemy zbierać grzyby! Przynieśliśmy do domu pełniutki kosz i nałapaliśmy sporo ptaków. Przytem i rozmaitych owadów nadzialiśmy na igły. To było bardzo interesujące. Potem znowu zaczął mię uczyć czytać... powtarzałem za nim a-a-b-b, ale jakoś ta nauka mię nużyła. Co chłopu po nauce, mówiłem sam do siebie. On zaś przeciwnie: Przecie nie jesteś już więcej poddanym, niewolnikiem. Powinieneś tedy uczyć się i w książkach doszukiwać się mądrości i prawdy. Był to nonsens, rozpowiadany przez wielkich ludzi. Prawdę odszukać można tylko we własnem sercu. To ja czułem. Ale on nie dał mi pokoju ze swoją nauką i skoro go proszę: daj mi spokój, to przechodzi moje siły — zaczął mi wymyślać i grozić: Jeżeli nie będziesz się uczył, to cię obiję ...ojca szpicrutą. I rzeczywiście dokonał tego rzetelnie.

Raz jednak uciekłem. Wtedy pochwycił strzelbę pogonił za mną. Cały dzień mię szukał. — Byłbym cię zabił, gdybyś mi się na oczy pokazał — rzekł do mnie.

Taki to był chłopak; pan prawdziwy od pięt do głowy, namiętny, uparty; ale mnie lubił, kochał jak brata.

Raz się o tem przekonałem, gdy mię mój ojciec obił straszliwie. Wtedy drżąc cały i wyciągnawszy pięści, wołał do ojca: Jak ty to mogłeś uczynić? — Jestem jego ojcem, odparł stary. — Tak, jesteś ojcem. Zobaczysz, że będziesz miał takie krwawe ślady na plecach, jak i on. To powiedziawszy, uciekł. Rzeczywiście podburzył całą służbę i jednego dnia mój ojciec powrócił z jękiem do domu i nie mógł ściągnąć koszuli, bo przylgła mu do pleców zakrwawiona. Ojciec mój skarżył się przed moją matką, że to ja jestem temu winien i że mię z domu wypędzi, przytem znowu otrzymałem cięgi, a ojciec nazwał mię „pańskim lizusem“.

— Nie, ty nigdy nim nie byłeś, — wyrzekł obcy — ojciec twój nie miał słuszności.

— Tak było rzeczywiście, kochałem szczerze Witti i każdy na mojem miejscu polubiłby tego dzielnego chłopca. A co to on mi rozmaitych rzeczy naopowiadał, naturalnie przez ciąg trzydziestu lat prawie wszystko zapomniałem. Chciałbym wiedzieć co się z nim stało. Czy doszedł do wielkich godności, czy też głęboko upadł? Tak się dzieje w życiu. Jeżeli się człowiek rzuca na wszystkie strony, nie zawsze trafi na dobrą drogę, a niech mu się raz noga powinie, przepada na wieki. Na świecie nie koniecznie nad upadłym ludzie się litują; prędzej go jeszcze zgnębią do reszty. Smutne to, ale tak się dzieje!

Jefim boleśnie poruszony patrzył w ziemię. Obadwaj jakiś czas milczeli.

— Czy litujesz się nademną — pytał aresztant wesołym tonem głosu i uśmiech zadowolenia ukazał się na jego ustach.

— Doprawdy komiczne zapytanie. W rzeczywistości lituję się nad tobą. Bo któżby się nie litował nad człowiekiem, który włóczy się sam jeden po świecie, nie mając żadnej życzliwej duszy. Musiałeś braciszku dopuścić się jakiegoś brzydkiego czynu, który udręcza teraz twoje sumienie, w każdym razie co najmniej zalewasz się wódką...

— Tak jest.

Słońce powoli kryło się za horyzont i cienie padały coraz dłuższe. Zapach od ziemi, od kwiatów i z lasu napełniał powietrze. Długie nastało milczenie. Nakoniec rzekł Jefim:

— Wprawdzie bardzo tu pięknie, ale jeszcze czeka nas ośm kilometrów do przebycia. Chodźmy ojczulku.

— Pozostańmy jeszcze chwilę — prosił aresztant.

— I mnie się podoba ta cisza i ten chłód leśny, ale naczelnik gminy będzie się gniewał.

— To nic nie szkodzi.

— Chyba że będziesz moim obrońcą, — żartobliwie odrzekł Jefim.

— Owszem i tego się podejmę.

— Co ty gadasz?

— Na seryo!

— Ach ty filucie.

— Czy on może nas każe oćwiczyć?

— Co prawda jest bardzo surowy i chytry. Zdaje się, że on zmierza do nóg, a tymczasem już cię początował policzkiem.

— Niechże go nie znam — bąknął aresztant.

Ale Jefim zaczął tracić cierpliwość. Był przecież członkiem gminnej władzy i miał oznakę swego urzędu przy sobie, o czem ten wagabunda nie powinien zapominać. Wydobył blachę i przypiął ją sobie na piersiach, wziął w rękę kij i rzekł rozkazującym głosem:

— Chodź! Musimy iść.

— Ja nie mogę — rzekł aresztant.

Jefim zrobił wielkie oczy, milczał chwilę i dziwił się, jak ten obcy hardo odpowiadał i widocznie drwił sobie z niego.

— Cóż to znowu? Mówię ci chodź! — rzekł.

— Nie — odpowiedział drugi głosem stanowczym.

— Co? Nie? Jak to nie? — krzyknął Jefim z gniewem.

— Wolę, żebyśmy tu sobie przenocowali. Chodź i rozpal ognisko.

— Dam ja ci ognisko, aż ci świeczki staną w oczach, czy ty słyszysz?

W głębi jednak był niesłychanie zdumiony. Aresztant stanowczo oświadczył mu, że tu pozostanie i nawet wygodnie ułożył się na trawie. Co to ma znaczyć?

— Nie krzycz daremnie! — mówi obcy.

Obadwaj przeciwnicy mierzyli się groźnemi spojrzeniami, aresztant się uśmiechał, Jefim zmarszczył się groźnie.

Namyślał się właśnie jakiego użyć środka i dlaczego dotąd taki spokojny i pokorny włóczęga tak się opierał jego rozkazowi. Być może, byłoby najlepiej, gdyby się na niego rzucił i związał jak barana. Próbował jednak jeszcze łagodnie przemówić.

— Dość tego mój chłopcze. Jeżeli natychmiast nie wstaniesz, muszę cię związać. No dalej, wstawaj, bo...

— Mnie chcesz wiązać? — rzekł aresztant z uśmiechem.

— Dlaczegóżby nie?

— Mnie, Jefimie Eryslow, chcesz związać Witty Tuczkowa?

— Co? — zawołał Jefim pobladłszy. Co to wszystko znaczy? Daj pokój tym żartom, jeszcze nikogo nie wiązałem w mojem życiu.

— Więc przestań i zechciej sobie mnie przypomnieć — mówił aresztowany, powstał i podał Jefimowi rękę.

Szymon Korczyński, Tarnów 2·—. Wygrane przez tow. Pulę —·20

Na pomoc zaborowi rosyjskiemu złożyli: Pracujący w drukarni: Rippera 1·90, Narodowej 2·50, Uniwersyteckiej 21·30, Fischera 2·30, Związkowej 2·—, Rippera 2·—. Fischera 2·50. Na pobybel „Słowu polskiemu“ —·50. Poprzednio wykazano 8570 K 36 h. Razem 8605 K 36 h.

KRONIKA.

Jaskinia wyzysku.

Z powodu blokady drukarni „Głosu Narodu“ wystąpiły drukujące się w tejże oficynie „Nowiny“ Szczepańskiego z artykułem pełnym napaści i obelg przeciw towarzyszom drukarskim. Nie będziemy polemizowali z brukowem świstkiem, zbytecznem jest bronić krakowskich towarzyszów drukarskich przed zarzutem nienawiści do maszyn zecerskich lub odpierać fałszywe denuncyacye, które są specyalnością Szczepańskiego. Wystarczy jeżeli ponownie weźwiemy ludność robotniczą, żeby nie kupowała „Nowin“ i wyrzucała z pośród siebie tę szmatę, która na ogół robotników drukarskich miota obelgi i rzuca oszczerstwa, ośmielając się nawet pomawiać ich o „przekupstwo“, a staje w obronie wyzyskiwacza i łamistrejków, składających to ogłupiające piśmidło. Precz z „Nowinami“!

Co się zaś tyczy „Głosu Narodu“, który również wystąpił z artykułem przeciw zorganizowanym zecerom, sądzimy, że najlepszą odpowiedź na kłamstwa pp. Tomaszewskiego i ks. Kądzioły stanowi jednomyślny wyrok drukarskiego sądu cennikowego, złożonego w równej liczbie z przedstawicielami pracodawców i robotników drukarskich; wyrok ten potępia stosunki panujące w drukarni „Głosu Narodu“ i wyzysk tam praktykowany. Ogół nietylko robotników, lecz także pryncypałów drukarskich oburzony jest na pp. Tomaszewskiego i ks. Kądziołę za to, że nie dotrzymują cennika płac i łamią spoczynek niedzielny.

Pobożni ci wyzyskiwacze wypisują w „Głosie Narodu“ kłamstwa, że płacą zecerów lepiej niż wszystkie inne drukarnie krakowskie. Otóż faktem jest, że płacą niżej cennika dotrzymywanego przez wszystkie inne drukarnie krakowskie. Obecnie łamistrejki pracują w drukarni „Głosu Narodu“ po 16—18 godzin na dobę, nie wychodzą wcale z drukarni, śpią tam i jedzą. Ks. Kądzioła i Tomaszewski trzymają ich jak w więzieniu.

A równocześnie bratni organ „Głosu Narodu“ — klerykalny „Postęp“ zamieszcza artykuł o szkodliwości pracy nocnej dla zdrowia robotników. Widocznie 18-godzinna praca dniem i nocą — wyjątkowo w drukarni „katolickich“ wyzyskiwaczy nie jest dla robotników szkodliwą...

W końcu musimy napiętnować jeszcze jedno oszczerstwo „Głosu Narodu“, jakoby strejkujące nakładaczki odesłali towarzysze drukarscy do kasy chorych, aby im ona wypłacała zapomogi jako chorym. Jest to bezczelne kłamstwo, równie jak i to, że zorganizowani drukarze grozili łamistrejkom pobiciem.

Za te oszczerstwa odpokutuje „Głos Narodu“, A choćby jeszcze sto oszczerstw wymyślili — pobożni wyzyskiwacze jednak nie wygrają, mając przeciw sobie ogół towarzyszów drukarskich i właścicieli drukarń.

Wspomnienie pośmiertne. W ubiegłą sobotę zrana zmarł w jednem z berlińskich sanatoryów po nieszczęśliwej operacyi M. Gotz (Rafaiłow). Była to postać szlachetna, człowiek wielkiej miary, bojownik nieugięty. Młodzieńcem jeszcze będąc, po wyjściu z liceum w Moskwie Gotz został zaaresztowany, jako należący do organizacyi „Narodnej Woli“ i wysłany w drodze administracyjnej do Syberyi wschodniej. Tam brał on udział w strasznej rzezi aresztantów politycznych w Jakucku, gdzie mu zadano ciężkie rany. Skazany na śmierć, został „ułaskawiony“ i wysłany znowu wraz z wielu innymi towarzyszami i żoną swoją Verą do robót ciężkich. Kampania, prowadzona przez prasę europejską, a zwłaszcza angielską przeciw carskim łotrom, którzy spowodowali rzeź jakucką, pociągnęła za sobą „amnestyę“ i Gotz uzyskał wolność w r. 1890. W r. 1901 Gotz wyjechał za granicę i zamieszkał z początku w Paryżu, a potem w Genewie, gdzie był współredaktorem dwóch organów partyi socyalistów-rewolucyonistów „Wiestnik Russkoj Rewolucyi“ i „Rewolucyonnaja Rossija“ (Rosya rewolucyjna). W r. 1903 Gotza aresztowano w Neapolu na żądanie policyi rosyjskiej, a Plehwe zażądał wydania go Rosyi. Ale Włochy Gotza nie wydały i sprawa jego wywołała energiczną agitacyę socyalistów włoskich. Jak wiadomo Plehwe został zgładzony przez bojową organizacyę S. R. W więzieniu neapolitańskiem Gotz poważnie zachorował; ozwały się stare rany jakuckie, ale mimo cierpień do samej śmierci Gotz zachował jasność umysłu i oddawał swojej partyi ważne przysługi przez doświadczenie życiowe i znajomość ludzi.

„Prawa Ludu“, organu polskiej partyi socyalno-demokratycznej, wyszedł numer 37 i zawiera treść następującą: Piąta kurya do sejmu!, Krzywdy cierpliwie znosić! Co dobre wiecznie będzie żyć. Jak robi miliony szlachcic galicyjski? Na co bogacze marnują pieniądze? Czy teraz nie ma pańszczyzny? (Ciąg dalszy). Duchowieństwo w Galicyi nie słucha papieża. Listy z kraju (Jaworzno, Świątniki górne, Jęzor, Szczakowa, Radziechów, Buczkowice, Komorowice, Biała, Żywiec, Polska i Morawska Ostrawa, Zbaraż). Z różnych stron. Z targów zbożowych.

Prenumerata kwartalna 1 K. Adres redakcyi i administracyi: Kraków, Sławkowska 29.

Podatek od biletów tramwajowych. Uchwalona przez krakowską radę miejską i przez galicyjski sejm krajowy ustawa o poborze przez gminę miasta Krakowa opłat od biletów jazdy na kolei elektrycznej i kolejach drogowych w obrębie m. Krakowa otrzymała sankcyę.

A więc do ogólnej drożyzny mieszkań, węgla, mięsa, cukru, obuwia itd. przybywa jeszcze i podrożenie tramwaju. Ten podarek ma ludność m. Krakowa do zawdzięczenia „mądrym“ rządom p. prezydenta dra Lea i kliki stańczykowskiej.

Przykra przygoda p. Jarry w Wiedniu. Pisaliśmy niedawno o doraźnej nauczce, jaką dali p. Wacławowi Jarrze wiedeńscy metalowcy za werbowanie łamistrejków. P. Jarra chce wmówić, iż w aferę tę jest zaplątany austryacki Związek metalowców, otóż jest to najzwyklejszem kłamstwem, robotnicy, zwerbowani jako łamistrejki na własną rękę dali p. Jarrze odprawę. Poniżej zamieszczamy list p. Jarry do austryackiego Związku metalowców:

„Do austryackiego Związku metalowców. Na dworcu kolejowym napadli dzisiaj na mnie członkowie wasi i obili mnie. Jak dzicy, w liczbie 60—80 otoczyli mnie i zaczęli bić nie dopuszczając do słowa i gdyby nie policyant w pobliżu, z pewnością byliby mnie zabili. I pytam się za co? Dlaczego tych ludzi nasadzono na mnie? Czy ja nie jestem dobrym przyjacielem robotników? Przecież chciałem ich zaangażować do siebie, mimo, że w waszym organie ogłoszono, że w mojej fabryce wybuchł strejk drikerów. Czy to prawda? Czy można nazwać strejkiem bezrobocie sześciu młodych ludzi, żądających 9-godzinnego dnia pracy, mimo, że wiedzieli, że 9-godzinna praca jeszcze w tym miesiącu wejdzie w życie w mojej fabryce. I dlaczegóż chcieli ze mnie zrobić wroga robotników, mimo, że mojem całem dążeniem jest iść zgodnie z robotnikami i poświęcanie się im zupełne. Nie liczyli się z tem, że hańbą jest napadać tak jednego człowieka, nie zbadawszy przedtem sprawy. Ja zapomnę rychło o tem, nikogo nie zaskarżę i przebaczam tym ludziom, którzy mnie tak znieważyli. Tej insulty nie będę się wstydził i uczuć moich bynajmniej nie zmienię względem robotników. Pisałem przecie w interesie robotników i wątpię bardzo czy Związek pochwali ten fakt napadu. Nie w takich bezwzględnych walkach leży uświadamianie i nie przez takie bestyalskie napady wzrasta solidarność robotników.

Spodziewam się wyjaśnienia w tej sprawie, dlaczego urządzono tę wstrętną scenę i czy rzeczywiście to jest broń robotników, zarazem proszę organizacyę o zbadanie przyczyny strejku w mej fabryce i pouczenie strejkujących, jak mają postępować. Z poważaniem inż. *W. Jarra.*

W odpowiedzi na list p. Jarry „Metallarbeiter“ daje następujące oświadczenie:

„Kalumnie i napaści w liście tego pana odpieramy z największą stanowczością. Związek nasz nie urządza żadnych bójek, tem samem i w tym wypadku. Zresztą wątpimy bardzo, czy pan ten jest przy dobrych zmysłach, widać to najwyraźniej z jego listu. Jeśli p. Jarra sądzi, że potrafi oszkalować naszą organizacyę, to grubo się myli, a na insynuacye zawarte w liście będzie musiał dostarczyć dowodów. Jego „przyjaźń“ dla robotników nie powinna mu była przeszkadzać podać do sądu tych, którzy go pobili — któż wie jaka w tem była przyczyna — zwłaszcza, że policyant stał tuż koło miejsca wypadku, jak to podaje p Jarra“.

Gadanina tego pana o przyjaźni dla robotników jest głupim wymysłem. Z drikrerów strejkujących u p. Jarry jeden zarabia dziennie 4 K, reszta po 2 K. P. Jarra lepiej zrobi, jeśli swoje morały i nauki, przesłane naszemu Związkowi, udzieli swemu papie. My nie walczymy środkami gwałtu, owszem potępiamy je. Robotników p. Jarra wcześniej nie dostanie, dopóki nie zaspokoi żądań strejkujących.

Gruzini w Krakowie. Sensacyę wywołało w sobotę w Krakowie pojawienie się dwóch Gruzinów w strojach narodowych. Ich pomarańczowego koloru żupany i wysokie białe „papachy“ baranie, wschodnie rysy twarzy i oliwkowa cera złożyły się na obraz niezwykły w Krakowie. To też, przechodząc ulicami i Rynkiem, zwracali na siebie powszechną uwagę. Wkrótce zaczął im towarzyszyć tłum niedorostków, którzy ich wzięli za kozaków.

— Kozacy! Kozacy! — szło z ust do ust. Usposobienie tłumu było skutkiem tej pomyłki wrogie wobec tych egzotycznych gości i przejawiało się w różnych okrzykach.

Oficyalna agitacya biskupa Pelczara. Dotychczas klechy prowadziły swoją agitacyę z ambon i konfesyonału pod maską religii i różnych misyjek i odpustów. W ostatnim czasie okazała się potrzeba tworzenia placówek klerykalnych drogą szerszą, oficyalną. Awagardy głodnego mandatów centrum ludowego tworzy się teraz zupełnie bez maski. Do niedawna związki katolicko-społeczne tworzono przygodnie, obecnie stały się one jednym z obowiązków pasterskich biskupów, którzy zjeżdżają do parafii i zupełnie oficyalnie zakładają związki katolicko-społeczne.

Oto co donosi „Gazeta narodowa“ o najnowszej takiej wyprawie biskupa Pelczara po chłopską skórę:

„Ks. biskup przemyski Pelczar objeżdża swoją dyecezyę w sprawie tworzenia związków katolicko-społecznych po parafiach. Dnia 5 b. m. był w Staszkowce koło Biecza. W szkole na zebraniu, w którem wzięli udział reprezentanci duchowieństwa, obywatelstwa i ludu z całego dekanatu, ks. biskup w przeszło godzinnej mowie w barwnem przedstawieniu wykładał o celach związku. Poruszył przedewszystkiem potrzebę niesienia ludowi oświaty i zachęcał do tego kapłanów i nauczycieli, jako też obywateli, zachęcał do zakładania Kółek rolniczych, czytelni, przestrzegał przed uprawianiem polityki, zastrzegł się wyraźnie, że nie przyjechał tworzyć centrum ludowego, jak mu to już insynuowały niektóre pisma polityczne, bo polityka tylko roznamiętnia obozy i przeszkadza w pracy społecznej, której nam przedewszystkiem potrzeba.

W dyskusyi, którą potem otworzył ks. biskup, zabierali głos proboszcz miejscowy, właściciel Staszkówki p. Schwarz i nauczyciel, skarżąc się na niezwykłą nieufność ludu, która wszystko udaremnia. Na zakończenie wybrano komitet dekanalny, do którego weszło kilku księży, dwóch obszarników i kilku włościan. Obiadem wspólnym zakończono uroczystość, poczem ks. biskup wyjechał na taką samą konferencyą do Brzysk pod Jasłem“.

Tak się przedstawiają te biskupie konferencye, wprawdzie biskup zastrzega się, jakoby przyjechał tworzyć placówki centrum ludowego, ale jest to tylko zwykły wybieg. Z poza tych rad pasterskich, przestrzegania przed polityką, odnoszenia się z ufnością do klechów wyłazi nagi cel „katolicko-społecznych uroczystości“, które nie są niczem innem, jak rozsadnikiem klerykalnej agitacyi. Komicznem w tej konferencyi było skarżenie się obszarnika przed biskupem, że chłopi nie chcą wierzyć w jego miłość do ludu wiejskiego.

Odnośnie do naszej notatki p. t. „Ohyda“ w numerze z ubiegłej niedzieli prosi nas p. J. Alfus, kupiec przy ul. Mikołajskiej, o zaznaczenie, że nie ma on nic wspólnego z wymienionym w owej notatce osobnikiem, który nawet podobno inaczej się nazywa.

Niesłychany wyzysk. Pisma lwowskie zamieszczają następujący dokument, świadczący o niezwykłem wyzyskiwaniu, jakiego dopuszczają się prywatne biura pośrednictwa pracy we Lwowie: „Zenon Pachole em. c. k. oficyał i urzędnik rachunkowy wojskowy w n. obr. kr. we Lwowie“ (pieczęć) Poz. 381/5. Rachunek za czynności i starania poczynione w sprawie pana Jana Nycza, koniuszego w Chorzelowie, w celu uzyskania dla tegoż stosownej posady: ogłosz. w Kurj. lw. 1 K 50 h; za polecenie do hr. Dzieduszyckiego 2 K; przesłanie odmownej odpowiedzi od hr. Dzieduszyckiego 1 K 50 h; anons w Kurj. 1 K 10 h; list, by się zaraz podał pod szyfrą „urzędnik 741“ 1 K 10 h; anons w Słowie pol. 1 K 70 h, w Dzien. pol. 1 K 25 h; w Kurj. 1 K 40 h; list 1 K 10 h; list, aby się podał do konnej policyi 2 K; anons w Dzien. pol. 1 K 25 h; w Słowie 1 K 70 h; w Wieku 90 h; za list 1 K 10 h; za list do kapitana Wąsowicza z poleceniem 1 K 10 h; list o przysłanie oryginalnych świadectw 1 K 10 h; list w tej samej sprawie 1 K 10 h; list, aby przyjechał 1 K 10 h; podanie o posadę insp. policyi w Ottyni 5 K; za 2 listy 2 K 20 h; za interwencyę w przedstawieniu się 15 K; za podanie do tramwaju lwowskiego 8 K; za podanie do ministerstwa wojny 10 K; za polecenie do hrabstwa Teńczyńskiego 3 K; za 2 listy 2 K 20 h; za polecenie do Horbacza 4 K. *Za sporządzenie niniejszego rachunku 5 K. Razem 78 K 40 h.*“ (podpis i pieczęć).

Biedny człowiek, nietylko że porządnie został ograbiony, na dobitek nie uzyskał nawet posady od pana Pachole, właściciela t. zw. biura stręczenia pracy, a właściwie nory niesłychanego wyzysku.

Z magazynu kolejowego w Nowym Sączu. Pisaliśmy już niejednokrotnie o panu Szczerbowskim i jego działalności. Wskazaliśmy na to, że działalność tego pana nieraz była tego rodzaju, że kwalifikuje się pod §§ ustawy karnej a mianowicie narusza ustępy, które traktują o przywłaszczaniu sobie cudzej własności. Mimo tego, że dość wyraźnie przemawialiśmy, ani p. Szczerbowski, ani dyrekcya do dnia dzisiejszego nie przysłała sprostowania ani też nie zareagowała na to w jakikolwiek sposób. Widocznie pisaliśmy prawdę, dlaczegoż więc do dziś dnia Szczerbowski jest na posadzie naczelnika magazynu.

Jeżeli nasze ostatnie słowa w tej sprawie nie poruszą dyrekcyę, sprawa Szczerbowskiego oprze się o wyższe instancye, a wówczas dyrekcya będzie musiała raz sprawę tę załatwić. Materyału dość już nagromadzonego.

Podmycie toru kolejowego. Z powodu podmycia nasypu między stacyami Zaryte i Mszana Dolna na szlaku Sucha-Nowy Sącz wstrzymano ruch towarowy zupełnie, a ruch osobowy odbywa się zapomocą przesiadania.

Rozagitowany klecha. W Jasienicy (powiat Brzozów) proboszcz tamtejszy rozpoczął piorunować na socyalistów, przedstawiając włościanom, iż to są dyabły. Patrzcie na Francyę, co tam się dzieje, zamiast obrazów świętych w kościele i na chorągwiach to mają dyabłów namalowanych. Tak i u nas chcą zrobić, ale ja wam dam radę: musicie mi się podpisać, że dacie pieniądze, oraz darmo robić będziecie, wów-

---

Ten cofnął się w tył, wpatrzył się w niego przerażonym wzrokiem, zaczął drżeć.

— Czy podobna? Pan jesteś Wiktor Aleksandrowicz — szepnął zaledwie dosłyszanym głosem.

— Może przejrzysz moje papiery. Albo chcesz żebym się jeszcze dokładniej wobec ciebie wylegitymował? Czy pamiętasz, jak raz wpadłeś do wilczej jamy, jak ja, wybierając ptasie gniazdo zawisłem na gałęzi głową do ziemi? Jakeśmy figle płatali naszej mleczarcze, czy nie zapomniałeś opowiadanych przez nią bajek?

Jefim mocno wzruszony położył się na ziemi.

— Cóż, teraz wierzysz? — pyta aresztowany, siadając obok niego i kładąc mu rękę na ramieniu.

Jefim nie odpowiadał. Noc już zapadła, tajemnicze szepty lasu płynęły w przestrzeni, ptaki układały się do snu i grube chmury ukazały się na firmamencie nieba.

— Cóż Jefimie, dlaczego jesteś taki smutny, czy dlatego, żeśmy się tak niespodzianie ze sobą spotkali? Ty jeszcze jesteś taki sam durny człowiek, jak pierwej. No, przemówże choćby słowo, mój przyjacielu.

Jefim rozpłakał się.

— No, no, wstydź się. Chodź lepiej i posłuchaj — mówił obcy, wstrząsając go za ramię.

Ten zaczął się uśmiechać i mówił prawie bez sensu:

— Muszę się cieszyć, ale doprawdy to trudne do uwierzenia. Mój drogi Witti, w takiem towarzystwie. W takim żebrackim hałacie, w gałganach. Bez legitymacyi... z torbą na plecach... gotów dostać się pod zamki i rygle. Mój Boże, czy to jaw, czy tylko chorobliwe złudzenie! Czemuż los nie chciał, aby było przeciwnie. Ja żebym był aresztowanym włóczęgą, a ty moim stróżem! Jakże często myślałem o tobie Witti, mało mi serce nie pękło z tęsknoty. A teraz oto mój Boże, ludzie nie będą wierzyć, gdy się o tem dowiedzą.

Mówił tak, nie patrząc na obcego, ale na własne buty, jakby się wstydził podnieść w górę oczy.

— Oni wcale o tem wiedzieć nie potrzebują — odezwał się aresztowany. Bądź spokojnym... tyś temu przecie nie winien. Moich papierów nie chciałem pokazać starszynie, żeby mię nie po znał. Pozostanę u mojego brata, który mi dopomoże. Wtenczas wszystko się odmieni i będziemy jeszcze chodzili razem na polowanie.

Witti mówił do niego jak do dziecka, które chciał ukoić w płaczu. Nad lasem zajaśniał księżyc, noc stawała się coraz ciemniejszą.

— Najniezawodniej naczelnik gminy wspomoże swego brata. Wtenczas będziesz znowu na swojem dawnem miejscu, odzyskasz poprzednie położenie i my będziemy, jak obiecujesz, znowu polowali — mówił Jefim. — Nigdym nie przypuszczał czegoś podobnego, okropny los cię spotkał i prześladował.

Wiktor Tuczkow roześmiał się głośno.

— Niczego bracie w mojem życiu nie brakło, przebyłem i dobre i złe, byłem na wozie i pod wozem, byłem panem i gałganem. Oprócz tego siliłem się podnieść, byłem też komedyantem, komikiem, przedsiębiorcą teatralnym, straciłem jednak wszystko i zostałem bankrutem. Narobiłem masę długów i wpadłem nawet w dość brzydką historyę. Teraz jestem przygotowany na nowe ciosy losu, na nowe jego kaprysy, przyjmę, co Bóg da.

Witti po tych słowach machnął ręką i zaczął się śmiać.

— Ale już o pańską fumę starać się nie mam chęci, co mi po tytule, gdy niema grosza w szkatule. Lepiej przestawać na małem i żyć spokojnie. Czy ty to rozumiesz?

— Rozumiem, rozumiem, ale to zawsze nie to, co było, nie wróci szczęśliwa przeszłość. Ja przeciwnie, jestem chłopem i kontent jestem ze swego stanu.

Umilkł.

Po chwili rzekł:

— Jeżeli chcesz tu zostać, rozpalę ognisko.

— Dobrze.

Aresztowany wyciągnął się i ułożył wygodnie, stróż tymczasem pobiegł w las nałamać gałęzi. Wnet nałożył wielki ich stos i zapalił — ogień buchnął.

Zamyśleni, paląc fajki, obaj towarzysze młodości wpatrywali się w ognisko.

— Wszystko jak dawniej — odezwał się Jefim.

— A przecież wszystko inaczej.

— Życie, to twardy orzech do zgryzienia, a kapryśny los przerzuca człowiekiem, jakby liściem, opadłym z drzewa.

— Jednemu i wiatr w oczy, a drugiemu...

— Los ściele wygodne jak ptaszkowi gniazdko.

— Co tam — zakończył Witti. — Dobrze tak jak jest, a co dalej będzie, przyszłość to niezbadana.

Powoli przygasał ogień, a nasi towarzysze cichutko, spokojnie leżeli na ziemi, ujęci głębokim snem.

Dodatek do Nru 254 „Naprzodu“.

LIST OTWARTY

w sprawie marnowania cudzego grosza

przez Zarząd Towarzystwa Wzaj. Ubezpieczeń w Krakowie.

Od lat dziesięciu, tj. od dnia ustąpienia z posady dyrektora ś. p. Henryka Kieszkowskiego, jest Dyrekcya Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie stale krytykowaną, oskarżaną i ośmieszaną, niemal że codziennie, bądź to w broszurach, bądź w dziennikach i w pismach humorystycznych, lub nareszcie w murach parlamentu. Przeciw wszystkim tym skargom lub obwinieniom, zacna Dyrekcya Floryanki zadawalnia się olimpijskiem marszczeniem brwi *intra muros* [1]), gołosłownemi, którym nikt nie wierzy, zaprzeczeniami *extra muros* i dalszem spożywaniem niczem nie zasłużonego, a dobrze posmarowanego kawałka chleba codziennego. Raz przecież trzeba tę sprawę wyświetlić.

1° aby przed sądem ogółu napiętnować tych, którzy nie mając racyi krytykują Dyrekcyę, ale

2° tę Dyrekcyę, — jeżeli krytyka ta ma podstawę, jest słuszną i do uzdrowienia instytucyi prowadzi, — do zdania rachunku z czynionych jej zarzutów zmusić, ewentualnie do odpowiedzialności pociągnąć.

Ponieważ Dyrekcya zarzuca, że krytyka przeciw niej jest zawsze anonimową, choć krytyka ta zawsze opartą była na zestawieniach cyfrowych, które nigdy anonimowemi nie są i same za siebie mówią, ponieważ twierdzi dalej, że w tej krytyce główną rolę gra zła wola lub zawiść, a nie chęć uzdrowienia tej tak wzorowo za czasów ś. p. dyrektora Kieszkowskiego prowadzonej instytucyi, podjąłem się zatem wyświetlenia prawdy, z całym spokojem sumienia, z całą dobrą wolą i z chęcią przyjścia z pomocą instytucyi. Rozpoczynam to dzieło uzdrowienia, choćby od takowego wielu miało zachorować, z góry uprzedzam, że nikomu i niczem z raz [obr]anej drogi sprowadzić się nie pozwolę.

W broszurze *Poinformowanego*, która będzie [m]m drogowskazem, dwa zarzuty i to za[rzut]y zrozumiałe dla laików nawet, uczynione [zost]ały nowej Dyrekcyi; zarzuty namacalnie [wyka]zujące złe rządy i marnowanie [grosza ciężko zapracowa]nego od ubezpieczonych, nieraz w pocie [czoła z]apracowanego grosza.

[Pierw]szy zarzut, że Dyrekcya podwyższyła [[illegible]] taryfę.

[Drugi] zarzut, że pomimo podwyższenia [taryfy dy]widenda nieproporcyonalnie zmalała [aż] do 0% a nawet, jak w roku 1904, [[illegible]]u).

[Każdy] zrozumie, że jeżeli za to samo ubez[pieczeni]e płaci się drożej jak poprzednio, [a] z tego nie dostaje się dywidendy, do [której] za rządów śp. Kieszkowskiego przez [lat wiele] ogół przyzwyczajono, to takie rządy [na]jmniej na żadne pochwały, któremi je [przez] lat kilka obsypywano, nie zasłużyły.

[Z]acna Dyrekcya Floryanki te dwa zarzu[ty] w następujący sposób odpiera: „prawda, [że] ny nie dajemy tak wysokiej dywidendy [i d]rożej każemy za ubezpieczenie płacić, ale [ins]tytucyę prowadzimy doskonale, o czem [każ]dy dowiedzieć się może z opłacanych [prz]ez nas artykułów dziennikarskich; [t]y tymczasem za rządów śp. H. Kieszkow[sk]iego, chociaż opłata za ubezpieczenia była [ni]ższą, a dywidendy większe, za to prowa[d]zenie interesu asekuracyjnego było niżej wszelkiej krytyki. — Trudno zaś od nas żądać, żebyśmy dawali wysokie dywidendy, nizką taryfę i... prowadzili interes znakomicie! My stanowczo świetnie prowadzimy interes i tem się zadawalniamy, w zamian za co każemy sobie (samo się przez się rozumie) za takie prowadzenie interesu i za ubezpieczenia drożej płacić“.

Wygodne tłómaczenie!

Nie mogę się tu rozwodzić i uzasadniać wszystko to, coby można obecnej Dyrekcyi, w szczególności inicyatorom teraźniejszej [g]ospodarki, pp. Edmundowi Ginwiłł-Piotrowskiemu, Leder Szatkowskiemu i ich sztabowi [za]rzucić, gdyż w takim razie musiałbym [w] całości wszystkie uczynione im w obu bro[sz]urach „Poinformowanego“ zarzuty przy[ta]czyć. Wystarczyć powinny oskarżenia, ja[ki]e poniżej umieszczę. Oskarżenia te dotyczą [prze]dewszystkiem nieograniczonej samowoli w rozporządzaniu zbieranymi funduszami, samowoli, której tamy żadnej postawić nie są w stanie organa ku temu powołane, a pozbawione wiedzy fachowej i po większej części będące w zależności materyalnej od Dyrekcyi, a to albo jako dłużnicy wekslowi złączonego z Floryanką „Wzajemnego Kredytu“, albo jako dłużnicy Floryanki, zalegający z opłatami za własne police, albo wreszcie jako dłużnicy hipoteczni działu życiowego. Na to chyba każdy się zgodzi, że kontrolujący nie powinien się znajdować w zależnym stosunku względem kontrolowanego. Co do tego dwóch zdań być nie może; jeżeli zaś członkowie Rady nadzorczej mają korzystać z kredytu w takiej instytucyi jak „Wzajemny Kredyt“, to ten ostatni nie powinien mieć wspólnego zarządu i wspólnej dyrekcyi z „Floryanką“, gdyż inaczej Rada nadzorcza zmienia się z ciała kontrolującego w kohortę pretoryanów, broniąca stolców dyrektorskich.

Nie będę się rozwodził nad brakiem kompletnym fachowej wiedzy członków Rady nadzorczej. Ci panowie nigdy nic nie wykryli i nigdy nic nie wykryją; ani w bilansach, ani w przedkładanych im sprawozdaniach, ani w referatach, których sami nie opracowywują zwykle, tylko donośnym głosem na zgromadzeniach delegatów mniej lub więcej dobrze odczytują; fakt ten mogę w razie potrzeby poprzeć świadkami — (pewien pan radca, radcujący lat 20 przeszło, mając sobie oddany referat działu gradowego, chciał referat ten wypracować na podstawie funduszu rezerwowego dz. ogniowego i omylił się „tylko“ o $5^1/_2$ miliona koron).

Drugi przykład fachowej wiedzy panów radców: przed laty 8-miu (może sobie ci panowie radcy datę dokładnie przypomną) ówczesny generalny buchalter, przedkładając tak zwanej komisyi rewizyjnej bilans, gdy się panowie radcowie zamaszyście (pierwsze chwile posiedzeń zawsze są zamaszyste) do sprawdzania tegoż zabierali, tak się odezwał: „bądźcie panowie pewni, że bilans jest najprawdziwszy, choć przecież gdybym chciał w bilansie ukryć sumę n. p. 60.000 złr., to panowie by jej i tak nie wyszukali.

— Co pan mówi? mosterdzieju my, mybyśmy nie potrafili 60.000 złr. wyszukać?

— No to panów uprzedzam, że bilans, oprócz zysku wykazanego ostateczną cyfrą, zawiera pozycyę, którą także jako nasz zysk uważać musimy.

— Ho! ho!, to my ją tu mosterdzieju stante pede[1]) wynajdziemy.

No i cóż? — nie pomogły marszczenia brwi, przymróżanie i otwieranie oczu, podkręcanie wąsów i t. p. z bilansowością nie mające nic wspólnego sposoby; musieli panowie radcowie po długiem i forsownem szukaniu kwestyonowanej pozycyi uznać się za niezdolnych do odszukania tejże i poprosić pana buchaltera, by ją im nareszcie mosterdzieju wskazał.

Kto zna nasze galicyjskie instytucye finansowe i wiedzę fachową większej części radców nadzorczych tychże, ten temu zdarzeniu bez zaklęć i dowodów uwierzy.

Dyrekcya Floryanki, ufna w brak wiedzy fachowej ze strony radców, z drugiej strony udzielając tymże panom radcom kredytu we Wzajemnym Kredycie, kredytu hipotecznego w dziale życiowym, cierpliwa co do wyrównywania należytości za police, wiedziała, że jeżeli kiedyś powstanie krytyka, to krytyka ta nie wyjdzie z łona zależnych od niej materyalnie członków Rady nadzorczej. Zainicyowała też prawdziwy taniec olbrzymich sum pieniężnych z funduszów składanych przez krocie tysięcy ubezpieczonych. Jazdy, szkontra, zakładanie [[illegible]], budowanie niepotrzebnych gmachów, wyjazdy za granicę, narady to w Berlinie, to w Wiedniu lub w Szwajcaryi, z ludźmi bez porównania bystrzejszymi od siebie, były pretekstem do wydzierania z kasy Towarzystwa kroci, które z pewnością większe by zyski przyniosły, gdyby (w swem własnem mniemaniu genialni) administratorzy byli pozostali w domu, a pieniądze nadal w kasach wertheimowskich.

Wszystko to upozorowane legalnością „juxtową“. Brało się, ile się dało brać najwięcej, ale na wszystko wystawiano juxty (kwitki), legalnie obdzierano ubezpieczonych. Zarzuty moje w danym razie poprę pisemnymi dowodami i setkami sprawy świadomych urzędników. Po prostu nie liczono się z tem, że fundusze, którymi miano zarządzać, nie były własnością prywatną Dyrekcyi, lecz gremium[2]) ubezpieczonych. W kraju, ekonomicznie tak biednym, obowiązkiem obywatelskim jest rozporządzać własnymi funduszami z kredką w ręku — marnować grosz publiczny jest świętokradztwem, choćby to marnowanie posiadało wszelkie pozory legalności.

Niekrępowana zatem żadnymi względami, nie obawiająca się niczego od kontrolujących władz, bądź to rządowych, bądź powołanych z wyboru, Dyrekcya Floryanki rozpoczęła szastać cudzymi pieniądzmi w sposób godny narwanego marnotrawcy, nad którym jeszcze kurateli nie rozciągnięto. W drugiej broszurze „Poinformowanego“ wykazano cyframi, które ze sprawozdań rok rocznie przez Dyrekcyę Floryanki wydawanych wyjęto, że w ciągu lat 5-ciu wydano na same jazdy o 228.472 koron i 72 hal. więcej, aniżeli w tym samym okresie czasu wydano za rządów ś. p. dyrektora Kieszkowskiego.

Zapytacie zapewne Szanowni Czytelnicy, na co te pieniądze poszły. Odpowiem: „djabli wiedzą na co!“, gdyż ostatecznym rezultatem tej podróżomanii było: niepomierne podwyższenie opłat od ubezpieczeń i zniknięcie wypłacanej za Dyrekcyi ś. p. Kieszkowskiego dywidendy. Były zastępca dyrektora p. Edmund Ginwił-Piotrowski z kilkutygodniowej „fachowej“ podróży po Szwajcaryi przywiózł ze sobą zbiór „menów[3])“ obiadowych, które mnie samemu pokazywał, zachwycając się umiejętnem zestawianiem potraw przez Szwajcarów. Wątpię, by się to w czemkolwiek do rozrostu i uzdrowienia Floryanki mogło choćby pośrednio przyczynić.

Naturalnie, że nie potrzebując krępować się żadnymi względami etycznej natury, nie krępowano się zapewne i w zestawianiu bilansów, wiedząc z góry, że w jakikolwiek one sposób zestawiane będą, spotkać się muszą z ogólnym aplauzem materyalnie zależnych, a fachowo sprawy nieświadomych władz kontrolnych.

W broszurze „Poinformowanego“, tak w pierwszej, jak i w drugiej, postawiono pytanie: dlaczego prowizya agentów, wynosząca do roku 1901 przeciętną sumę między 200.000 a 300.000 koron rocznie, raptem w roku 1901 wzrosła do kor. *651.003* a w roku *1902, do kor. 684.294 i 99* hal. Jeżeli cyfry te kryją w sobie inne wydatki, jak np. rozliczne wydatki administracyjne, lub straty powstałe z przeprowadzenia różnych umów lub kontraktów z daleko mędrszymi reprezentantami obcych towarzystw, to nie powinny one być w bilansach przemycane pod fałszywemi pozycyami.

A teraz zapytuję się dlaczego? jakiem prawem? na mocy czyjej uchwały, śmiano nie wypłacić ubezpieczonym przypadającej im dywidendy od zaliczki przeniesionej z roku 1898 na rok 1899, a wynoszącej około 2,289.492 koron? Carte blanche[1]), na takie bezprawie nie miał nikt prawa dyrekcyi Floryanki udzielać. Wszyscy urzędnicy pewni byli, że takie bezprawie nawet dobrotliwej komisyi ministeryalnej wyda się nadużyciem. Fakt, że się kogoś, ufając w bezkarność, w błąd wprowadza, tysiącom samowolnie ukróca przypadającą im dywidendę z bilansu, licząc na to, że to się udać musi, a w danym razie, że się znajdą obrońcy, którzy potrafią całą sprawę obronić, fakt taki — powtarzam, tylko u nas w Galicyi miejsce mieć może. Tylko u nas może istnieć taka kontrola, taka odpowiedzialność, taka pewność bezkarności i ten brak prostego nawet poczucia: co można, a co nie wypada, ten brak poczucia, zakrawający na drwiny z opinii publicznej, z władz naczelnych i z całej rzeszy uświadomionych i rozumiejących sprawę urzędników.

Dla zcharakteryzowania sposobu zapatrywania się panów z Zarządu Floryanki na taką „bagatelę“, jak niewypłacenie najsłuszniej należącej się członkom dywidendy, przytoczę następujące fakta, które każdego czasu stwierdzę zeznaniami odpowiednich świadków: Gdy Zarząd postanowił (chyba tylko dla uproszczenia bilansu) dywidendy od przeniesionej zaliczki w r. 1898 na 1899 t. j. od kwoty, jak to powyżej zaznaczyłem, 2,289.492 kor. i 99 hal. nie wypłacać, jeden ze starszych urzędników zwracał uwagę generalnemu buchalterowi panu Gablenzowi, że z powodu tego cofnięcia nastąpi oburzenie między członkami ubezpieczonymi. W parę miesięcy potem, gdy nieświadomi sprawy o tę dywidendę się nie upomnieli, a uświadomieni zażądawszy w formie nieraz wcale niedelikatnej wypłaty tejże, w tej chwili ją dostawali i sprawa została tym sposobem zatuszowaną, — p. Gablenz do owego urzędnika tak się wyraził: a widzisz — mówiłeś, że z powodu niewypłaconej dywidendy od przeniesionej zaliczki będzie chryja i krzyki, a tu nikt się na tem nie połapał i jest cicho.

Nikt się nie połapał, uczciwa gospodarka, niema co mówić! Jest cicho, gdyż się nikt nie połapał. To śmie mówić pierwszy buchalter poważnej instytucji krajowej?

I miał racyę, że nikt się nie połapał: ani członkowie Rady Nadzorczej, jak zawsze na niczem się nie połapujący, ani delegaci, ani większość ubezpieczonych, ale całe grono urzędników wiedziało i połapało się bardzo dobrze, że to jest proste zeskontowanie z góry zastrzeżonej bezkarności.

Drugi przykład, również mogący być potwierdzonym przez szereg świadków. Pan Leder Szatkowski, któremu wolno wydawać rozporządzenia dzięki ślepej fortunie i prawu kaduka, jedynych dwóch czynników, które go do wydawania jakichkolwiek rozporządzeń uprawomocniły, mocą swego stanowiska, jako sekretarz Floryanki, wydał okólnik do kierowników sekcyi, aby dywidendy z przeniesionej zaliczki z roku 1898 na 1899 nie wypłacać. Paru starszych urzędników udało się do niego z przedstawieniem, że to będzie nieuczciwie, cóż na to usłyszeli z ust tego wielkiego ekonomisty, który choć szkół nie skończył, ale aż kilka lat podobno, jak to Dyrekcya w swej odpowiedzi „poinformowanemu“ z dumą zaznaczyła, spędził na politechnice we Lwowie? „Ha, jak pan masz pieniądze, to im pan wypłać dywidendę“. Oto odpowiedź sekretarza poważnej instytucyi krajowej.

Zdaje mi się, że to wystarczy, aby zrozumieć, jak nieuczciwą i nielegalną rzeczą było niewypłacenie tej dywidendy.

W roku 1900 wypadała dywidenda aż 13%, prawie tyle co za Kieszkowskiego, „tylko“, o 17% mniej (za ś. p. Kieszkowskiego dywidenda dochodziła do 30 i 33%.) Otóż gdyby dywidenda była uczciwie wymierzoną, byłaby może wyniosła 8 %, no ale tu chciano udać Kieszkowskiego, zatem aby się do 30 % zbliżyć, dano 13 %, ale ponieważ 13 % nie wystarczało na dywidendę od całej w 1899 wpłaconej zaliczki, zatem postanowiono od zaliczki w roku 1898 na rok 1899 zarachowanej, dywidendy wcale nie wypłacać; sposób, choć w innych instytucyach nie uprawiany, ale tak prosty i praktyczny, że doprawdy dziwić się należy, dlaczego do podręczników buchalteryjnych wprowadzonym jeszcze nie został.

Ten brak fachowej kontroli, ta pewność bezkarności, to lekceważenie odpowiedzialności, były powodem, że nie robiono sobie żadnego skrupułu z niepotrzebnego wydawania powierzonych swej administracyi funduszów, a trwonienie tychże upozorowywano „juxtową“ legalnością.

Na to me oskarżenie pozwolę sobie jako dowód jeden z wielu przykładów przytoczyć. W roku 1902 bawił dzisiejszy sekretarz „ekonomista“ pan Leder Szatkowski na kuracyi w Karlsbadzie — a jakże, dla tych panów niema dziś nic za drogiego, gdy o ich, w ich przekonaniu, drogocenne zdrowie, lub rozrywkę idzie i ci bajońsko ponad pracę i zasługi wynagradzani funkcyonaryusze, ledwie którego cokolwiek zaboli, lub zdaje im się, że zaboli, dla których dawniej do wyzdrowienia dostateczną była szklanka oleju rycinowego, albo lewatywa, — mkną natychmiast expresami dla schudnięcia do Marienbadu, na nerwy do Abazyi, na żołądek do Karlsbadu i t. d. — Otóż p. L. Szatkowski, otrzymawszy naturalnie bez trudności urlop, letnią remuneracyę i odpowiednią zapomogę, pojechał leczyć się do Karlsbadu. Raptem w jakiś czas później i genialny poprawiacz dzieła czterdziestoletniej mrówczej pracy ś. p. Kieszkowskiego p. Edmund Ginwiłł-Piotrowski, również luxuscugiem podążył do Karlsbadu.

Nie wiem, czy p. Leder Szatkowski wyleczył się na żołądek, ale to wiem, że rezultatem tej kilkudniowej ekskursyi[1]) p. E. G. Piotrowskiego, była nowa pozycya w rubryce wydatków administracyjnych p. t. „Podróż do Karlsbadu dyrektora E. G. Piotrowskiego, koron 690“. W rok później zjechała przygnana broszurą *„Poinformowanego“* komisya ratunkowa przepraszam, chciałem powiedzieć komisya ministeryalna. A no badają, dodają, rozpatrują wszystko bardzo ostrożnie, miny poważne, zdawałoby się niemal groźne, nareszcie i panu radcy Blaschkiemu, sprawdzającemu koszta podróży, było „zu viel“ (za wiele), natknął się na pozycyę wycieczki do Karlsbadu, pyta zatem „was ist das für eine Karlsbader Reise des H. direktor Piotrowski“? A tu ani be, ani me. Ale nietylko obecny, ale i przytomny podobno pan buchalter Gablenz, zabrawszy głos, usprawiedliwia:, „dass H. Direktor Piotrowski sollte in Karlsbad eine Besprechung mit einem schwedischen Direktor haben“. Pan radca Blaschke machnął ręką, mruknął pod nosem „Schwamm drüber“ i dalej począł wszystko w porządku znajdywać.

Nie wiem, czy ten „Schwedischer Direktor“ był prawdziwie szwedzkim dyrektorem, czy też przypadkiem gorsetu i spodnicy nie nosił, gdyż w drugim wypadku na „Karlsbader-Reise“ Floryanka straciłaby tylko 690 kor. gdyby zaś „Schwedischer Direktor“ był prawdziwie szwedzkim dyrektorem, to oprócz kosztów podróży straciłaby pewnie na owem „Besprechung“ tyle, w jakiej proporcyi stoi wiedza i spryt człowieka fachowego, do wiedzy i sprytu ufnego w siebie samego i w swe protekcye miernego dyletanta. W każdym razie gdyby mi ktoś co do tej „Karsbader-Reise“ czynił zaprzeczenie, zażądam w danym razie dowodów na piśmie rezultatów rzekomego „Besprechung“.

Niktby nie uwierzył, że taka „Vergnügungs-Reise“ [2]) odbywać się może w kraju, w którym za wzięcie bochenka chleba, zgłodniałego nędzarz wsadza się na parę miesięcy do kryminału.

Dalszym wynikiem tego braku fachowej i bezwzględnej kontroli było wyśrubowanie sobie przez matadorów Floryanki poborów swych do wysokości graniczącej z pojęciem nadużycia. W naszych czasach, w czasach, gdzie pot kroplisty, lub długie studya zaledwie uprawomocniają do zdobycia sobie uczciwego kawałka chleba powszedniego, we Floryance bez potu i bez studyów pobory matadorów są wprost bezczelne.

Aby na wiatr nic nie twierdzić, wiedząc jaką odpowiedzialność na siebie przyjąłem, wezmę jako przykład n. p. koszt utrzymania [[illegible]]iego pana Franciszka Paszkowskiego, dyrektora referenta Floryanki. Pan ten z pensyą, remuneracyą, z dyetami, oprócz kosztów podróży I klasą, kosztuje rocznie Tow. Wzaj. Ubezp. do 50,000 K.

Ale nie na tem koniec. Pan Paszkowski miewa swoje kaprysy, do których zaspokojenia służy znów kasa Floryanki. I tak nie mówiąc o tem, że oprócz tak bajońskich poborów, otrzymuje on mieszkanie, złożone z kilkunastu pokoi, korzysta wyłącznie z ogrodu

---

[1]) U siebie.

[1]) Natychmiast. [2]) Ogółu. [3]) Spis potraw

[1]) Pozwolenia.

[1]) Wycieczki. [2]) Podróż [illegible]

…dynego co do obszaru, jaki jest w Krakowie. — I tego mu było za mało. W roku 1905 p. sprzykrzyły mu się posadzki w apartamentach, dalej zmieniać takowe na koszt Towarzystwa, kosztem 4.000 kor. W jakiś czas potem, zachciało mu się światła elektrycznego. Ponieważ jednak nie wypadało kosztem Towarzystwa zaprowadzać światło elektryczne tylko w jego mieszkaniu, zaprowadzają zatem światło elektryczne dla upozorowania potrzeby tegoż i w innych ubikacyach gmachu Floryanki, kosztem koło 40,000 koron, bez względu na to, że parę lat przedtem instalacya światła gazowego kosztowała przeszło 60.000 kor. i t. d. Proszę dodać te wszystkie sumy w błoto rzucone! W instytucyi, w której urzędnicy urzędują od godziny 8 rano do 2 popołudniu, żadnego światła nie potrzeba. Zdałoby się właściwie więcej światła w sumieniu i głowach u panów z zarządu Floryanki, ale niestety, tego światła za pieniądze się nie dostanie.

Cóż taki pan Paszkowski w zamían w ofierze instytucyi przynosi? — Kompletną nieznajomość interesu, na którego czele go postawiono, i mikroskopijną dozę pracy.

Co do pierwszego zarzutu, to zdaje mi się, że mem poprzedniem wystąpieniem w broszurach „P o i n f o r m o w a n e g o" nieznajomość kompletną całego interesu nietylko przez niego, ale i przez cały Zarząd Floryanki dostatecznie wykazałem. A o tem możecie być panowie przekonani, że Wam tę Waszą nieznajomość jeszcze lepiej i dosadniej potrafię udowodnić.

Co do drugiego zarzutu, to nadmienię, że tak „nieodzownie potrzebny", „tak pracowity", „tak li tylko instytucyi wyłącznie oddany" pan Paszkowski w r. 1905. był 124 dni nieobecnym w biurze (jeżeli chce wiedzieć daty, w które to dni był nieobecnym, to mu niemi każdego czasu służyć mogę). Zatem, jak powiadam, 124 dni nie było go w biurze. Proszę do tych 124 dni dodać święta i niedziele, proszę odciągnąć czas zmarnowany w biurze na taką ciężką pracę, jak obecność przy otwieraniu poczty, (strasznie mądra i męcząca czynność), na czytanie rannych i popołudniowych dzienników, na dawanie o byle głupstwa *quasi* [1]) audyencyi urzędnikom i naturalnie na nieodzowne śniadanko; reszta pozostaje sumiennie poświęcona pracy, a jak obfitej w skutki i jak świadomej celu, to najlepiej świadczy moje wystąpienie teraźniejsze i uświadomienie w tym względzie żywem słowem w niedalekiej przyszłości całego kraju.

Naturalnie, że nawet wobec niezwykłych starań ze strony dyrekcyi Floryanki, starań opłacanych pieniądzmi ubezpieczonych, bądź to za ogłoszenia, bądź za podawanie maksymalnych cen zboża dla działu gradowego, bądź to w inny sposób, stał się każdy głos krytyki lub oburzenia słusznym. W uczciwą gospodarkę we Floryance mało kto wierzył. Ja sam, jak kania deszczu, z zapartym oddechem czekałem tego wybrańca, któregoby „p l a c e t" [2]), dane zarządowi Floryanki potrafiło wzbudzić zaufanie u ogółu. Mijały lata, podejrzenia wzrastały, niechęć i krytyka coraz większe kręgi zataczały, a tu o mężu opatrznościowym ani dudu. Wybawienia z kłopotliwego położenia trzeba było oczekiwać chyba tylko od opatrzności, to też każde wstrząśnienie przyrody nadzieją napawało serca dyrekcyi, różnorakich referentów, a zapewne i członków Rady nadzorczej. A nuż stanie się cud i z głębin mrocznych w Courrieres, z ogniem ziejącej paszczy Wezuwiusza, lub ze skłębionych czeluści morskich San Francisko, wyłoni się ten upragniony sprzymierzeniec i w złotym chełmie jak Lohengrin jaki, na konchie perłowej przez łabędzie ciągnionej, ocean i morze przepłynie i via Gdańsk i Sandomierz wprost do mającego być zrobionym portu pod Dębnikami zawita, aby *urbi et orbi* [3]) oznajmić, że niema pracowitszego a gorzej wynagradzanego dyrektora nad pana Franciszka Paszkowskiego, że wielka księga długu wewnętrznego Francyi (le grand livre, no ale o tej to pewnie niejeden radca i referent Floryanki w życiu nie słyszeli) nie jest skrupulatniej i jaśniej prowadzona, aniżeli księgi bilansowe Floryanki, lub że żadne zgromadzenie agronomów na astronomii tak się nie rozumie, jak członkowie Rady nadzorczej krakowskiej Floryanki na rachunkowości. Niestety, i te rachuby w pomoc przyrody zawiodły, mąż opatrznościowy się nie zjawił; zatem w roku 1905 poproszono pana Winiarza, aby go zastąpił, o czem w „Czasie" opozycyjnym, a zawsze krytykującym bez miłosierdzia działalność wszelakich rad nadzorczych, prezesów i dyrektorów — ogół powiadomiono.

Któż to jest pan Winiarz? — Bardzo porządny człowiek, dyrektor krakowskiej filii Banku Hipotecznego, ale znający się na interesie asekuracyjnem i na buchalteryi asekuracyjnej tyle, ile na bankowości zna się pan Męciński, prezes Rady nadzorczej Floryaki i członek Rady nadzorczej Banku Hipotecznego, pośrednio zatem jako taki przełożony pana Winiarza, pobierający za paromiesięczne podpisywanie kawałków w tymże banku do 14,000 koron rocznych dyet.

Pan Winiarz, o czem można się łatwo przekonać, odpowiedzialności żadnej na siebie brać nie chciał, twierdząc słusznie, że interes ubezpieczeniowy jest mu obcym, no, ale wobec zaręczań p. Męcińskiego, że to czysta forma, że to idzie o to, aby ktoś z poza Floryanki bilans tejże niby sprawdził — uległ i rzeczywiście sprawdził, że cyfry są w odpowiednie rubryki wpisane, że… księgi buchalteryjne są mocno oprawione i że Floryanka używa dobrego atramentu, wytrzymałych stalówek, a szczególnie dziwnie cierpliwego papieru.

Często wobec oburzenia z mojej strony na obojętność społeczeństwa, że się tak potulnie obłupiać pozwala i że toleruje te fikcyjnie legalizowane nadużycia, spotykam się że zdaniem, ze „d o p ó k i h r. P o t o c k i b ę d z i e n a m i e s t n i k i e m, t o n i e m o ż n a i m n i c z r o b i ć, b o o n i c h b ę d z i e b r o n i ć."

Co!? zatem w kraju konstytucyjnym obywatel ma się obawiać w sprawie ogół obchodzącej zabrać głos z obawy przed namiestnikiem? Jeżeli żyję według ustaw i praw kraj obowiązujących, to mi i dziesięciu namiestników nic zrobić nie są w stanie, ani w wypowiedzeniu prawdy w sprawie, którą znam na wskróś, nie przeszkodzą. Hrabia Potocki — przypuszczam jest człowiekiem tradycyi; otóż nikt lepszej tradycyi we Floryance po sobie nie zostawił, jak jego ojciec ś. p. Adam, jeden z założycieli i jej prezesów. Otóż ojciec hrabiego Potockiego, dzisiejszego namiestnika, gdy był prezesem Floryanki, to piece oglądał, gdy nowe stawiano, w obawie, aby one za dużo ubezpieczonych nie kosztowały. A przecież ta skrupulatność w wypełnianiu raz przyjętych przez siebie obowiązków, ani na włos go w oczach ogółu nie poniżała — przeciwnie, pozostawił po sobie wzniosłą pamięć; dałby on im posadzki i elektrykę, chyba elektrykę na posadzce.

Powiadają również, że dzisiejszy dyrektor referent jest przyjacielem hr. Potockiego. A i owszem, niechże sobie i będzie jego przyjacielem, tylko znowu wracając do ojca hr. Potockiego ś. p. Adama, to można być pewnym, że będąc z natury hojnym z własnej kieszeni, a oszczędny i dbały o grosz publiczny, niezamożnemu przyjacielowi dałby wieś w dożywocie, a nie starałby się wyrabiać mu, dzięki swym wpływom, synekury i nie byłby ze spokojnem sumieniem świadkiem upadku instytucyi, która jest jedyną przystanią dla tylu setek rodzin urzędniczych i tak dla potrzeb kraju niezbędną. Dzisiejszy namiestnik Galicyi nie tylko nie powinien być spadochronem dla zarządu Floryanki, ale powinien był, jeżeli go głosy krytyki doszły, a że doszły, to mam na to dowody, z mocy stanowiska swego wkroczyć i przeprowadzić najściślejsze sprawdzenie bilansów od szeregu lat przez czynniki, których zadaniem nie byłoby nic nie znaleść, ale właśnie przez takich, którymby kraj cały uwierzył.

Co tu powiedzieć o tak zwanych nadzwyczajnych remuneracyach? Wyliczenie tychże remuneracyi i przytoczenie błahych powodów, dla których obsypuje się rzekomo poniesione zasługi dla dobra instytucyi przez wybrańców Floryanki, mogłoby tomy całe zapełnić. Dla charakterystyki, za co się remuneracye otrzymuje i w jaki sposób bywają one usprawiedliwiane w księgach buchalteryjnych, przytoczę tutaj parę faktów: głośna była remuneracya, jaką swego czasu dostał p. L. Szatkowski z okazyi urodzin pierworodnego syna. Remuneracya ta była prawdziwą niespodzianką dla szczęśliwego ojca. Spadła na niego, jak manna z nieba. Tajemnica jej uchwalenia do końca ściśle zachowaną została; przypuszczone do niej były tylko najbliższe i najwyższe sfery osób interesowanych, a więc: Dyrekcya, Rada nadzorcza, no i akuszerka. W 24. godzin po urodzeniu tego *sui generis* infanta asekuracyjnego, papa dostał ku zdumieniu całego gremium urzędników 1000 koron, z pieniędzy przez ogół ubezpieczonych, zapewne nie w tym celu składanych.

Ciekawem byłoby wiedzieć, czy pan hr. Potocki również i w swoich dobrach ze swojej kieszeni, dla swoich oficyalistów zaprowadził podobne premie porodowe?

W jaki zaś sposób pewne remuneracye przez księgi przeprowadzane bywają, objaśni następujący fakt, który miał miejsce nie dawniej podobno, jak tego roku po zjeździe delegatów. — P. L. Szatkowski (znowu on, ta prawdziwa „Mascotta" asekuracyjna), po całorocznych znojach, rozumując, że jeżeli Karlsbad bardzo dobrze robi księciu bułgarskiemu, czemużby więc jemu nie miał dobrze zrobić, postanowił swój *plenus venter* powierzyć skutecznemu działaniu Karolowych warów. Dostał zatem naturalnie, jak zwykle, sześć tygodni urlopu, roczną remuneracyę letnią, dodatek, za pracę nadzwyczajną podczas posiedzeń Rady nadzorczej drugi dodatek, kto wie, może i inną jaką zapomogę. *Kurz und gut* z pewnością wszystkie te nadzwyczajności wyniosły wraz z pensyą miesięczną z jakie parę tysięcy koron. Ba, ale to wszystko mało; do Karlsbadu jechać wypada, ale jakżeby tu zrobić, aby jechać nie za swoje, lecz za pieniądze tych dobrotliwie naiwnych ubezpieczonych. Mądrym głowom „dość pałką w łeb". Cóż zatem robią pan Paszkowski i pan Szatkowski? Jeden drugiemu t. j. p. Paszkowski panu Szatkowskiemu poleca udać się do Goty — słyszycie panowie, do Goty, aby tam odbyć znów na podobieństwo metody wypróbowanej przez p. E. Ginwiłł Piotrowskiego *eine wichtige Besprechung* z dyrektorem towarzystwa ubezpieczeń w Gocie. No i cóż dalej? A no nic. P. Szatkowski pobrawszy ryczałtową sumę na wyprowadzenie w pole niemieckiego dyrektora w Gocie, pojechał najspokojniej leczyć się wraz z księciem bułgarskim do Karlsbadu. Na całej sprawie — widzę, że dobrze wyszedł dyrektor niemieckiego towarzystwa w Gocie, który w ten tylko sposób uszedł szczęśliwie porażki ze strony chluby krakowskiej Floryanki. Mniej zyskali na tej manipulacyi ubezpieczeni, którzy ponieśli stratę materyalną i w Gocie i w Karlsbadzie.

Tak się „mosterdzieju" wynagradza swoich mężów zaufania.

Taka samowola w rozporządzaniu funduszami nie własnymi i niczem nie krępowane obchodzenie się z losami urzędników i ich rodzin, wytworzyły nienaturalny całokształt tego dziwoląga zwanego Floryanką, w której zarządzający tyle sobie robią z powierzonych ich pieczy funduszów ogółu, co z zeszłorocznego śniegu, i w której widzimy z jednej strony rzeszę ciężko, nieraz po kilkanaście godzin pracujących białych murzynów, czekających zwykle przez lat ośm na etat, ludzi, którym śmie się za ciężką nadobowiązkową pracę zaledwie po kilkanaście tylko koron, jakby psu ochłap rzucić, a z drugiej strony widzimy falangę nic nie robiących, bez studyów i bez odpowiedzialności, ufnych w protekcyę u ludzi tych samych kwalifikacyi, co oni, pastwiących się literalnie nad zatrudnionymi w ich biurach urzędnikami, tak zwanych matadorów asekuracyjnych.

Ile razy przechodzę koło gmachu Tow. Wzaj. Ubezpieczeń, tyle razy zda mi się, że widzę na nim wypisaną świetlanemi zgłoskami dewizę: „Darmozjadorum voluntas suprema lex", a która to dewiza — zdawałoby się, że z dniem ustąpienia ś. p. Henryka Kieszkowskiego stała się jedynym drogowskazem obecnego jej zarządu.

Jakżeż wobec tych delikatnie wyrażając się „nieformalności" zachowuje się ta wyrocznia opinii publicznej — prasa? Ta prasa, której obowiązkiem nie tylko dąć w surmy podczas uroczystości patrjotycznych, lecz której codzienna czujność powinna bez wytchnienia stać na placówce i być nieubłaganym biczem bożym właśnie dla tych, którzy zamiast być przykładem dla upośledzonych przez los swych współobywateli, dzięki swym stanowiskom trwonią nieopatrznie ich zarządowi powierzony grosz publiczny, w pocie czoła nieraz zbierany, a w razie głosów ostrzegających, wytężają wszystkie siły i używają wszelkich środków i wpływów, by odzywające się głosy oburzenia w zarodku stłumić.

Według statutu, wszelkie ogłoszenia bilansów powinny być podawane jedynie w gazecie urzędowej, zatem w *Gazecie lwowskiej*; tymczasem ryczałt przeznaczony na opłatę właśnie w różnych dziennikach umieszczanych ogłoszeń i sprawozdań z odbytych zgromadzeń, jak również z bilansów Floryanki, wyniósł w roku 1905 koło koron 35.000.

Czyż taki dziennik, pobierający dobrą zapłatę za przesyłane mu z ramienia Floryanki ogłoszenia, może z całą bezwzględnością krytykować działalność tejże? Na pytanie to może sobie sam czytelnik odpowiedzieć zechce.

A jednak prawie wszystkie dzienniki podniosły głos krytyki po wyjściu obu moich broszur (poinformowanego). Nie mówiąc o *Naprzodzie*, który piętnował nadużycia Floryanki, ale przecież i *Kuryer Lwowski, Głos Narodu, Nowiny, Przyjaciel Ludu*, nawet wszechpolskie *Słowo* i konserwatywny *Przegląd Lwowski* (w Nrze z dnia 1 maja 1904 r.) zapytywały, czy Floryanka jest instytucyą krajową użyteczności publicznej, czy też asylum dla synekurzystów i pewnych bez karności darmozjadów?

Nie wspominam tu o *Czasie*, ktorego sprawozdawca do spraw tyczących się Floryanki pan redaktor Hopcas pobierał od Tow. Wzaj. Ubezp. do dnia 1 stycznia 1906 r. stałą pensyę (100 koron miesięcznie) i remuneracyę po każdem posiedzeniu Rady Nadzorczej.

Wobec mego dzisiejszego wystąpienia, każdy postawić sobie musi pytanie: że albo ten Majewski pisze nieprawdę, albo przedstawia wierny, plastyczny obraz wewnętrznej gospodarki we Floryance. Pozwolę sobie co do pierwszego pytania zwrócić Szanownym Czytelnikom uwagę, że doskonale świadom jestem, w jaki arsenał paragrafów obfituje austryacki kodeks karny i wiem, jaka bezwzględna kara dosięgłaby śmiałka, któryby się odważył bezpodstawnie, spokojne trawienie pełnych brzuchów naruszyć. To też z dowodami w ręku do tej akcyi przystępuję i całym szeregiem świadków świadomych rzeczy otoczony jestem.

T a k i e b e z p r a w n e n i e w y p ł a c e n i e d y w i d e n d y z p r z e n i e s i o n e j w r. 1898 n a 1899 z a l i c z k i,

t a k i e p r z e m y c a n i e w b i l a n s a c h r ó ż n y c h w y d a t k ó w (w p r o w i z y i a g e n t ó w n. p.), n a s t ę p n i e

w y p ł a c a n i e s z k ó d (n i e r a z d z i e s i ą t k i t y s i ę c y w y n o s z ą c y c h) l u d z i o m, k t ó r z y w c a l e u b e z p i e c z o n y m i n i e b y l i,

t a k i e z a t r z y m y w a n i e z e b r a n y c h r e z e r w o w y c h f u n d u s z ó w, p r z e z p o d s t ę p n e z n i ż a n i e w a r t o ś c i n i e r u c h o m o ś c i u b e z p i e c z o n y c h, j a k t o z a w y c z a j z l u d e m s i ę p r a k t y k u j e (*ut list p. Ullmana*), to już nietylko nieformalnościami nazwać można. Posiadam w ręku niezbite dowody, że wszystkie te „nieformalności" samowolnie spełnione zostały, a dowody prawdy przy popełnionych przeze mnie zarządowi Floryanki zarzutach, każdego czasu przeprowadzić potrafię.

W razie potrzeby list mój niniejszy przesłany będzie polskim posłom do Dumy w Petersburgu, polskim posłom do parlamentu w Berlinie i wszystkim posłom w parlamencie wiedeńskim. Niechaj i obcy odczują przedsmak sprawiedliwego i uczciwego sposobu, w jaki byłaby rządzona wyodrębniona Galicya. Dowodzące bezmyślności twierdzenie, że „brudy powinno się prać u siebie — w domu", wypowiadane głównie przez organy stronnictw konserwatywnego i wszechpolskiego, nie zdradza sensu i jest czczym frazesem; gdybyśmy rachowali na pranie brudów między sobą, to powstali z grobów Łazarz i Piotrowina mogliby w porównaniu z nami chodzić za gogów pierwszej sorty. Ja, „nieprzymierzając" piorę brudy Floryanki już dziesięć lat — pranie to kosztuje mię już parę tysięcy koron, a nie zdołałem jeszcze nawet parę [illegible]tek wyprać.

Nie należy zapominać, że temu tak mało formalistyki trzymającemu się zarządowi, danem jest rozporządzać budżetem dochodzącym do wysokości 12 m i l i o n ó w k o r o n r o c z n i e, pochodzących z opłat od ubezpieczających się. Powierzając sumę tak wielką zarządowi pozbawionemu wszelkiej fachowej kontroli, nie krępującemu się niczem, pewnemu bezkarności, opłacającemu pienia pochwalne ku swej chwale i wielkości wznoszone pieniądzmi składanemi przez okłamywanych ubezpieczających się, jestto to samo, co pozostawienie ognia w rękach niemowląt dla zabawy.

Ta Rada nadzorcza, taż to parodya kontroli! Proszę Szan. Czytelników — ileż to instytucyj w tym naszym biednym kraju poszło na marne? ile milionów wrzucono w błoto? — Galicyjskie Tow. Ubezpieczeń, Bank włościański, Kasa oszczędności lwowska, Bank kredytowy, Bank dla handlu i przemysłu, Towarzystwo handlowców i przemysłowców w Krakowie, tkackie tow. Szczepanika, Bank handlowy, Bank zaliczkowy, Związek hodowców bydła i t. d., i czyż to mały poczet zmarnowanego kapitału i zmarnowanych nadziei, pokładanych w wyż wymienionych instytucyach? A ileż to rad nadzorczych przy tej okazyi potworzono? iluż prezesów i [illegible] radców w radach zasiadało — czy aby jeden za cokolwiek w swem życiu do odpowiedzialności pociągnięty został?

Jakie wrażenie to moje teraźniejsze wystąpienie wywrze na sfery interesowane, [illegible] wiem. Z góry jednak zapowiadam, że ono [illegible]rodajnem dla mnie nie będzie. List mój [illegible] w interesie ogółu, jako przestrogę i jako [illegible]stowanie słyszanych dotąd hymnów p[illegible]ńych i zachwytów, pod tak fałszywym [illegible]sem skierowanych.

Ostrzegam, że wszelkie ud[illegible]wanie [illegible] niemych, wszelkie przybieranie pozy [illegible] pogardy Fredrowskiego Papkina, lub [illegible] chwalającego się szekspirowskiego Fal[illegible] z równowagi mnie nie wyprowadzą. J[illegible] została wezwana znów jakaś komisya, ma[illegible] znowu wszystko niby w porządku zna[illegible] to jakąkolwiekby ona była i choćby się [illegible] apostołów składać miała, to musi w niej [illegible]siadać mąż nieposzlakowanej uczciwości, n[illegible]zrównanej wiedzy fachowej, który będąc prz[illegible] 36 lat generalnym buchalterem za czaso[illegible] śp. Henryka Kieszkowskiego, widząc zgubn[illegible] gospodarkę, wprowadzoną przez p. E Ginwił[illegible] Piotrowskiego, wolał się usunąć, motywu[illegible] swój czyn w podaniu o przeniesienie [illegible] w stan spoczynku tem, że widząc zgubn[illegible] kierunek i fałszywe tory, na które Floryanka wkroczyła, przewidując zgubne i złe wyniki zainicyowanej gospodarki, a nie chcąc za te wyniki brać na siebie odpowiedzialności, wolił przejść w stan spoczynku. Człowiekiem tym jest żyjący w Krakowie w pełni sił męskich pan Gustaw Adam. O n j e d e n jest w stanie z tej gmatwaniny całej jądro sprawy wydobyć i stan prawdziwy przedstawić ku zbudowaniu i zdumieniu całego kraju.

W ostatnich czasach wspominano często o mającem powstać „Towarzystwie ludowem" i w tym względzie mnie się zapytywano. Otóż — jestem stanowczym przeciwnikiem tworzenia konkurencyjnego towarzystwa. Towarzystwem ludowem powinna stać się Floryanka, gdyż ona w wielkiej mierze i z grosza ludowego powstała. To też obecny zarząd Floryanki może być pewnym, że o słuszne prawa, jakie się ludowi w zarządzie Floryanką należą, potrafimy się upomnąć. Dziko śmieszny cenzus, nadający prawo wybierania delegatów tylko ludziom względnie bogatym, (trzeba ubezpieczać, chcąc być wyborcą: albo nieruchomości w wysokości najmniej 40,000 koron, albo ruchomości w wysokości 5,000 koron, albo być ubezpieczonym na życie conajmniej na 10,000 koron) musi być usunięty. Taż to pierwsze kurye, a Floryanka w miniaturze wyodrębnioną Galicyą. Ale za gospodarkę tak mądrą i uczciwą przecież płacicie i Wy, co głosu nie macie. Wszyscy, ubezpieczający się choćby tylko na 100 koron, powinni mieć prawo głosu przy wyborze na delegatów. Zadaniem też naszem będzie t o s ł u s z n e p r a w o z d o b y ć. Od Krakowa po Czerniowce poruszymy ubezpieczający się lud pod hasłem: *równe prawo wyborcze dla ubezpieczających się* — i sprawdzenie bilansów od dnia ustąpienia śp. Henryka Kieszkowskiego po dzień dzisiejszy, a zobaczymy, czy jaki rząd ośmieli się tym sprawiedliwym żądaniom nie uczynić zadość.

Tadeusz Majewski
właściciel realności.

---

[1]) Niby. [2]) [illegible]dzenie. [3]) Całemu światu.

Kraków, 10 września 1906, [illegible] L. 10. II. p.

czas wybudujemy dom i założymy związek katolickich robotników.

Na to wezwanie księdza 27 włościan się podpisało, iż to uczynią. Musimy nadmienić, że w Jasienicy szkoła się zawaliła, a niema się kto zająć odbudowaniem jej. Możeby tak klecha zamiast ludzi bałamucić, zajął się odbudowaniem szkoły.

„Cudowne“ dziewczęta. W Sośnicy, pod Zabrzem, na Górnym Śląsku, zmarła znana wróżka Agnieszka Słaboń. Prorokowała ona przed śmiercią, że za dwa tygodnie się obudzi, lecz omyliła się. Krewni czekali daremnie na obudzenie się zmarłej i dopiero, gdy jej ciało zaczęło na dobre się psuć, zawiadomili policyę. Pogrzeb odbył się przy niezmiernym udziale ludności. Od 10 lat pielgrzymowały szczególnie stare kobiety do tej dziewczyny, którą lud uważał za świętą, ponieważ umiała w nierozumnych wmówić, że ma „cudowne“ widzenia i posiada władzę prorokowania. Żadne napomnienia i przestrogi ze strony władzy świeckiej i duchownej nie pomogły, bo lud tylko wierzył w ową dziewczynę, która znajdowała się w chorobliwym stanie, a żadnej „cudownej“ mocy nie posiadała.

Podobne rzeczy dzieją się od dawna już w Ługnianach, w powiecie opolskim, dokąd pielgrzymują różni łatwowierni ludzie do pewnej dziewczyny, która udaje „prorokinię“ i ciągnie wielkie zyski z daru ogłupiania łatwowiernych.

Dobroczyńcy cudzym kosztem Z Borysławia piszą nam: Tutejsze firmy zaczynają na starość waryować — i tak firma Dawid Fents zupełnie bez pytania i zgody robotników obciąga im już od kilku miesięcy po jednej koronie z krwawo zapracowanego grosza na kościół — ewentualnie na zegar kościelny. Co robotników obchodzi jakiś zegar na kościele? Jeżeli gmina Wolanka chce mieć zegar, to bardzo łatwo może go sobie urządzić, ale ze swoich funduszów nie z krwawicy robotników. Radzimy zatem tym firmom, ażeby zaprzestały tych prowokacyj na przyszłości nie rządziły się ciężkim zarobkiem robotników; kler ma dość pieniędzy — na zegar go stać.

Przedstawienie amatorskie. Z Borysławia piszą nam: W sobotę dnia 8 bm. odbyło się u nas przedstawienie amatorskie, połączone z zabawą tańcującą. Odegrano dwie sztuki p. t.: „Pogoń za ptaszkiem“ i „Córka prokuratora“, sztuki doskonale nadające się na scenę robotniczą, pierwsza świetnie charakteryzuje stosunki pod zaborem rosyjskim, druga doskonale ilustruje sprawiedliwość galicyjskiego prokuratora. Sztuki były w ogólności doskonale wykonane; na szczególną pochwałę zasługuje gra tow. Maryi Opar, Władysława Stroszczyka, Janickiego, Stroszczyka, Kossowskiego i Prochnickiego.

Pan Piech ma „pecha“... W Sanoku wychodzi wszechpolska szmatka „Gazeta sanocka“, której redaktorem jest p. Piech, bronzownik, wieczny kandydat na posła, właściciel jednego głosu otrzymanego przy wyborach, były ludowiec, klerykalny łapoliz, lizuń sanockiego zarządu fabryki wagonów, zaciekły wróg socyalistycznej organizacyi i t. d. i t. d. Otóż pan ten, z okazyi zbliżających się wyborów do parlamentu, przygotowuje sobie grunt pod mandat nikczemnemi napaściami i głupiemi oszczerstwami na ruch socyalistyczny, świadczącemi o zupełnem skorumpowaniu tego panka, który w ten sposób chce sobie skaptować opinię w Sanoku i robotników z klerykalnej organizacyi. Jeśli pan Piech sądzi, że w ten sposób potrafi uzyskać mandat do parlamentu, to się grubo myli; ludność sanocka nie jest tak skorumpowaną, jak czcigodny redaktor krzykliwej sanockiej szmatki. P. Piech mógłby się przekonać, że organizacyi naszej nie zaszkodzi ujadaniem w swojej szmatce, sam zaś może wyjść na tem tak dobrze, jak to mu już kilka razy się trafiło. Przy wyborach otrzyma znowu jeden głos na... posła.

Car pisze poematy. Londyński „Daily Mail“ podaje przekład poematu, którego autorem ma być sam car. Czytamy tam takie słowa: „Moje szczęście zrodziło się wśród ciemnej nocnej, a kwitnęło w pomrokach. Radość i uciechy daleko są odemnie; błąkam się znużony pośród zórz wieczornych. W n i e ł a d z i e(!) i n i e p o k o j u wirują myśli moje; płyną i zanoszą modły i cierpią i skarżą się i nie znachodzą na ziemi ani pokoju ani ostoi...“

Zamach samobójczy. W sobotę wieczorem wezwano pogotowie ratunkowe do domu przy ulicy Floryańskiej pod l. 45, gdzie 23-letnia Julia P., służąca u p. Witasiewiczowej, usiłowała sobie odebrać życie przez zażycie fosforu. Zdołano ją uratować. Powód tego jej kroku nie wiadomy.

Uleczony — zmarł! W sobotę zaszedł na dworcu krakowskim wypadek nagłej śmierci. Mianowicie zmarł niejaki Szeląg, 20-letni młodzieniec, który prosto wyszedł ze szpitala św. Łazarz, j a k o z u p e ł n i e u l e c z o n y. Właśnie chciał odjechać do domu, gdy mimo uleczenia zmarł na dworcu kolei. Wezwane pogotowie ratunkowe skonstatowało już tylko śmierć.

ZAWIADOMIENIA.

— **Repertuar teatru miejskiego w Krakowie.**

Niedziela: „Odrodzenie“, komedya w 3 aktach Fr. Schoentana i Fr. Koppel-Eufelda.

Poniedziałek: „Rewizor z Petersburga“, komedya w 5 aktach Gogola.

Wtorek: „Zrzędność i przekora“, komedya w 1 akcie wierszem Al. hr. Fredry. „Ożenić się nie mogę“, komedya w 3 aktach Al. hr. Fredry.

Sroda: „Oj młody, młody!“, krotochwila w 4 aktach Al. hr. Fredry (syna), ceny miejsc zniżone.

Czwartek: „Ach to Zakopane“, krotochwila w 3 aktach C. Kraatza.

Piątek: teatr zamknięty.

Sobota: „Barbarzyńcy“, sztuka w 4 aktach M. Gorkiego (nowość).

Niedziela: „300 dni“, krotochwila w 3 aktach P. Gavault.

- **Repertuar teatru ludowego.**

Niedziela o godzinie 3 po południu: „Tajemnice Krakowa“.

Niedziela o godzinie 8 wieczorem: „Żonaty kawaler“.

Wtorek: „Chcę sobie pohulać“.

Czwartek: „Złodziejka“.

— **Uniwersytet ludowy im A. Mickiewicza w Krakowie.**

B i b l i o t e k a U n i w e r s y t e t u l u d o w e g o, C z y t e l n i a p i s m o r a z B i u r o p o r a d y mieści się przy ulicy G r o d z k i e j 43, II. p.

B i b l i o t e k a otwarta w dni powszednie od godz 4—9, a w niedziele i święta od 10—1.

C z y t e l n i a p i s m otwarta w dni powszednie od godz. 11½—1 i od 6—9, — w niedziele i święta od godz. 10—1.

Nieurodzaj w Rosyi.

Ogłoszono urzędowe sprawozdanie o urodzajach, czyli nieurodzajach w Rosyi. Brzmi ono oczywiście inaczej, niż prywatne dane. Ale nawet na podstawie danych urzędowych wnosić można, że w zestawieniu z r. 1905 urodzaje przedstawiają się nierównie gorzej. Względnie znośniejszymi są zbiory w Inflantach, Królestwie i na południowym wschodzie. Ale w guberniach nadwołżańskich i w najbardziej dotąd produkcyjnych wschodnich nieurodzaj jest bezwzględnym faktem. Owies jary wszędzie zły i ani jedna gubernia nie daje pod tym względem wybitniejszego wyjątku. Żyto prócz Królestwa — wszędzie obrodziło źle. To samo z owsem i jęczmieniem. Naogół tylko w Królestwie i Inflantach zbiory wypadły pomyślnie; nad Wołgą, na obszarach południowych i na wschodzie nie dosięgają przeciętnej miary.

Wyniki nieurodzaju już się dają odczuwać i znajdują wyraz w cyfrach wywozu zboża. Od początku sezonu wywieziono z Rosyi przeszło 2 miliony cetnarów metrycznych pszenicy, podczas gdy w tym samym okresie czasu w roku zeszłym cyfra wywozu pszenicy wynosiła 3¾ mil. cetn. metr., a więc o 1¾ więcej, niż w roku bieżącym. Wywóz żyta zmniejszył się o 1¼. Jeżeli pamiętać, że ogólna cyfra wywozu pszenicy dosięgała w roku zeszłym 45 mil. cetn. metr., to względny tegoroczny brak 18½ mil., który konstatuje nawet sprawozdanie urzędowe, już się da bardzo we znaki. Należy również wiedzieć, że wywóz w tegorocznej kampanii jest usilnie forsowany, co jest zrozumiałe ze względu na stan polityczno-społeczny Rosyi, ale mimo tę gorączkowość eksportu — zboża nadchodzi o 50% mniej, niż w roku zeszłym.

Odpowiada to pewności, iż r o z p o r z ą d z a l n a d l a w y w o z u i l o ś ć z b o ż a z m n i e j s z y ł a s i ę o p o ł o w ę w porównaniu z rokiem zeszłym.

Zmniejszenie zaś wywozu pszenicy jest klęską dla handlowego bilansu Rosyi. Tem lepiej!

Przygotowania do pogromu w Warszawie.

Warszawa, 15 września. (B. Wolffa). W ciągu dnia wczorajszego odbyły się l i c z n e r e w i z y e d o m ó w. W i e l e o s ó b a r e s z t o w a n o i i n t e r n o w a n o w k o s z a r a c h.

Rzeź w Siedlcach.

Powoli zaczynają nadchodzić wiadomości z Siedlec, przynoszące ciekawe i charakterystyczne szczegóły pogromu. I tak otrzymaliśmy stamtąd następujące informacye:

Na tyce, umieszczonej na wieży ratuszowej widniała przez cały czas pogromu wywieszona przez wojsko c z e r w o n a l a t a r n i a. Ilekroć jednak toczyły się pertraktacye między władzami a deputacyą żydów, spuszczano ową latarnię, a w jej miejsce wywieszano k r z y ż. Po każdem zakończeniu pertraktacyj spuszczano krzyż, wywieszano znowu czerwoną latarnię i pogrom zaczynał się nanowo...

Wiadomości urzędowe o strzałach z browningów do oficerów i patroli — są s f a ł s z o w a n e. W rzeczywistości żołnierze wchodzili do domów i dawali ś l e p e s t r z a ł y z karabinów, a także oficerowie wchodzili do domów i stamtąd strzelali z rewolwerów. W ten sposób usiłowano i m i t o w a ć „s t r z a ł y z b r o w n i n g ó w“, aby urzędowo upozorować pogrom...

Na wieść o pogromie okoliczni c h ł o p i u z b r o i l i s i ę w k o s y i w i d ł y i r u s z y l i n a o d s i e c z ż y d o m. Dowiedziawszy się o tem władze otoczyły całe miasto osobnym kordonem wojska, który zatrzymał chłopów.

Pułk l i b a w s k i został po pogromie z Siedlec p r z e n i e s i o n y d o B ę d z i n a. Widocznie gotuje się p o g r o m w Z a g ł ę b i u D ą b r o w s k i e m.

Aresztowania i rewizye.

Peterhof, 16 września. Przedsięwzięto tu liczne rewizye domowe i kilka osób aresztowano. Wśród aresztowanych znajduje się także jeden lokaj dworski.

„Zakazane“ partye.

Petersburg, 16 września. (Pet. ag. telegr.). Partya wolności ludu, kadetów i Związek z 30 października zostały zakazane.

Przejażdżka aresztanta z Peterhofu.

Sztokholm, 15 września. Svenska tel. biuro donosi z Björkö, że wczoraj przed połud. przybył tam jacht „Standart“ z parą carską na pokładzie. Towarzyszyło mu kilka okrętów wojennych.

Sądy polowe.

Moskwa, 15 września. W y r o k s ą d u p o l o w e g o skazujący studenta M a z a r y n a n a ś m i e r ć p r z e z p o w i e s z e n i e, został **dziśrano wykonany.**

Podpora samodzierżawia.

Grodno, 15 września. Kasyer miejski w Brześciu litewskim zbiegł, zabrawszy 135.000 rubli.

Popy przeciw rewolucyi.

Petersburg, 15 września. Metropolita petersburski Antonius wydał z polecenia synodu list pasterski do biskupów, w którym powiada, że przemijające zaślepienie zniknie, a potem wzburzone morze znown się uspokoi. Naród rosyjski wówczas zapyta się, gdzie byli jego pasterze w czasach zawikłań. Do walki przeciw nieprzyjaciołom kościoła i państwa potrzebne są nietylko środki zewnętrzne, lecz także wpływ moralny, a to jest zadaniem duszpasterzy. W niedalekich wyborach wielu obywateli zwróci się do swych duszpasterzy o radę, kogo wybierać. Duchowni nie powinni jednakże dać się zaślepić przez rozmaite słowa, przyrzeczenia i programy polityczne, lecz tylko według zasad miłości i prawdy postępować i tylko dobro państwa i kościoła powinno być dla nich decydującem.

Pożar w Petersburgu.

Petersburg, 15 września. Wczoraj wieczorem pożar zniszczył wielką część budynków zakładu budowy wagonów.

Car podróżuje.

Car podróżuje. Co prawda tylko po Zatoce Fińskiej. Ot — kilkodniowa wycieczka. Każdy urzędnik korzysta z urlopu, wolno-ć tedy i najjaśniejszemu użyć wczasów. Inni za niego odrobią Siedlce, Warszawę, Odessę. Są to zresztą b i e ż ą c e s p r a w y p a ń s t w o w e — odpływy krwi.

Jaka jest liczba urodzeń w Rosyi? Czy w Rosyi się teraz dzieci rodzą? Czy dają przewyżkę tego... „bieżącego“ budżetu?

Nikt z towarzyszących carowi na jachcie, co krąży po kałuży bałtyckiej, tablic statystycznych nie układa.

Szeroką jest natura Rosyanina: jeżeli pić, to już na umór, jeżeli rżnąć, to już nie liczyć, jeżeli kraść — to skraść rzeczy wielkie, ciężkie: kopułę złotą z cerkwi, albo torpedowce, albo całą konstytucyę, lud, całą Rosyę...

Pięknym jest na północy zachód słońca. Tak soczystej, zda się krwią ociekającej kuli słonecznej daremnie byś szukał kędyindziej. A na morzu, na morzu efekty są jeszcze wspanialsze. Niby się toczy, tarza na fali olbrzymi kłąb najczerwieńszego mięsa, okrągły jak berło i jakby umyślnie przez dwór i przybocznych lekarzy przystosowany do celów rozrywki i odpoczynku po wielkim znoju, trudach i — lęku, leku.

— Co słychać w Polsce? — pyta car.

— Powstanie w Siedlcach.

— Bezmyślny, zuchwały bunt! Ale go stłumiono?

— Tak jest.

— Co słychać na Południu?

— Żydzi się zbuntowali. Nie chcą wydać rewolucyonistów.

— A sądy polowe?

— Działają.

— To dobrze.

— Jakie mamy wieści ze wsi?

— Carewokszajska gmina poszechońskiego powiatu i gubernii składa u stóp waszej cesarskiej mości wyrazy najpoddańszego uwielbienia z powodu komunikatu o sprzedaży dóbr skarbowych.

— Napisać: „bardzo dziękuję“. No — a ci — małorolni, czy bezrolni?

— O, tych jest niewiele.

— A armia?

— Zaprowadza porządek.

— A to nieprawda, że — jak tu ktoś mówił — za wiele sobie pozwolono w Polsce... Jak się nazywa to miasto... zapomniałem.

— Siedlce, wasza cesarska mość.

— Tak, Siedlce...

— To są tendencyjne pogłoski pism żydowskich i rewolucyonistów.

— A... to co innego. Ale mi pisze wuj Edward, że w Warszawie ma być pogrom żydów i że to nie wypada przed Europą.

— Co czynić, wasza cesarska mość, co czynić, oni nie chcą wydać rewolucyonistów...

— O... ta rewolucya!...

— Uspokoi się, wasza cesarska mość, uspokoi.

— Pan myśli, że Stołypin potrafi?

— Już wiele zdziałał. Komunikat o gruntach skarbowych zadowolił chłopów, komunikat o twardej, energicznej polityce rządu, uspokoił społeczeństwo i zadał cios anarchistom, wreszcie sądy polowe i reformy...

— Tak pan myśli... A jednak mnie trapią jakieś przeczucia...

— Wasza cesarska mość jest przeciążony pracą.

— Być może... być może... Śnił mi się dziad Aleksander II i nieodżałowany nieboszczyk Min i biedny Sergiusz... Wołali mnie... To zły znak... Jak pan myśli: zły czy dobry?

— Dobry, wasza cesarska mość.

Ale car nie pytał: dlaczego „dobry“, lekarze zabronili dociekać. Wieczór zapadał. Dostojny podróżnik stał na pokładzie i podziwiał zachód słońca... krwawy. Ale czy bywa zachód nie krwawy?

TELEGRAMY.

Strejk w czeskich kopalniach węgla.

Mosty, 16 września. Wczoraj zjawili się przywódcy ruchu strejkowego u władzy górniczej w Mostach i oświadczyli, że chcą swoje życzenia zrestyngować, a mianowicie, że odstępują od żądania 8-godzinnego dnia roboczego, a co do podwyżki płacy żądają jej między 10% a 25%, oraz żądają bezkarności ogólnej dla strejkujących. Rokowania są w toku.

Umowa wojskowa angielsko-francuska.

Paryż, 16 września. Ernest Judet, naczelny redaktor „Eclaire“, oświadcza dzisiaj w swem piśmie, że Anglia uczyniła Francyi zupełnie konkretną propozycyę zawarcia wojskowej umowy, a rząd francuski zgodził się na ten projekt z zastrzeżeniem ratyfikacyi przez parlament. Francuscy ministrowie otaczają całą sprawę tajemnicą.

Z Japonii.

Londyn, 16 września. „Daily Telegraph“ donosi z Tokio, że Japończycy zamierzają w Petersburgu i w Niemczech założyć muzea handlowe i muzea przemysłowe. Władywostok zostanie prawdopodobnie uznany za wolny port. Flota angielska stacyonowana w Azyi wschodniej uda się w odwiedziny do Portu Artura. Japonia zamierza wysłać do Chin eskadrę pod wodzą ks. Fuszimi. Książę złoży wizytę na dworze w Pekinie.

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń

× **Zgromadzenie krawczyń** odbędzie się w niedzielę 16 b. m. o godzinie 9 rano w grupie 110 Związku krawców. W celu omówienia ważnych spraw uprasza się koleżanki o liczny udział w tem zgromadzeniu.

× **Baczność kaflarze krakowscy!** We wtorek 18 b. m. o godzinie 7 wieczorem odbędzie się w Związku stow. rob. (Mały Rynek 6) poufne zgromadzenie robotników kaflarskich. Z powodu bardzo ważnych spraw zarząd uprasza o liczny udział.

× **Baczność kolejarze krakowscy!** W poniedziałek 17 b. m. o godzinie 7½ wieczorem odbędzie się w sali stowarzyszenia kolejarzy, przy ul. Topolowej 12. poufne zgromadzenie kolejarzy z porządkiem dziennym: 1) Sprawozdanie z konferencyi. 2) W sprawie zakładu ubezpieczenia. 3) Reforma wyborcza. 4) Prasa. 5) Wnioski i interpelacye.

× **Kółko samokształcenia w Krakowie.** Towarzysze, którzy pragną zapisać się do Kółka samokształcenia, zechcą zgłosić się do gospodarza Związku (Mały Rynek 6) do poniedziałku 16 b. m.

× **Stryj.** W niedzielę 16 b. m. o godzinie 12 w południe odbędzie się w sali Domu narodnego, przy ul. Hosza, **zgromadzenie ludowe** z następującym porządkiem dziennym: 1) Pluralny system wyborczy a socyalna demokracya. 2) Wnioski i dyskusya. Towarzysze i towarzyszki, jawcie się jak najliczniej! Komitet miejscowy P. P. S. D. w Stryju.

Konstytucya w Chinach.

A więc i na Chiny przyszła kolej.

Trzecie to już z rzędu państwo azyatyckie, które zaprowadza system konstytucyjny a z nim udział ludu w zarządzie spraw państwowych. Pierwszą była Japonia, która w kilka-

naście lat po zrzuceniu z siebie skorupy feudalistycznej wprowadziła parlamentaryzm, kilka tygodni temu znów szach perski dla położenia tamy nadużyciom biurokracyi zmuszony był założyć fundamenty pod przyszły ustrój konstytucyjny w Persyi, teraz zaś przyszła kolej na Chiny.

W chwili, gdy car rosyjski i biurokracya resztkami sił swoich bronią się przed inowacyami przydatnemi dla »zgniłego« tylko Zachodu, gdy grożą sądami polowymi tym wszystkim, którzy w rzeczywistości niczego innego nie pragną, jak konstytucyi i parlamentu — Chiny, mocarstwo, którego nienawiść do wszystkiego, co tchnęło postępem, stała się niemal przysłowiową, Chiny wzorują się na »zgniłym« Zachodzie i wchodzą na targ konstytucyonalizmu.

A warto zapoznać się ze słowami manifestu, zapowiadającego tę inowacyę: »Tak długo jak nasza dynastya rządzi Chinami — mówi w tym manifeście w imieniu cesarza chińska regentka-wdowa — poprzednicy nasi zawsze wydawali prawa zgodne z duchem czasu. Obecnie wszakże, kiedy Chiny weszły w bliższą styczność ze wszystkiemi narodowościami prawa nasze i nasz system polityczny są stanowczo przestarzałemi i wskutek tego kraj nasz narażony jest na bezustanne trudności. Musimy więc zreformować nasz system polityczny i zbudować nowy kodeks prawny; w przeciwnym razie bylibyśmy niegodni zaufania naszych przodków i naszego narodu«.

Jakie to wszystko szczere i proste w porównaniu z wykrętnemi elukubracyami cara i jego pachołków!

Przyznać trzeba wszakże, że to po raz pierwszy przemawia w ten sposób monarcha do narodu chińskiego. Między koroną a narodem panował w Chinach przez długie lata antagonizm głęboki, na każdym niemal kroku pełno było sprzeczności interesów, a dynastya mandżurska, oddając w istne arendy swym poplecznikom-mandarynom prowincye chińskie, oddalała się coraz bardziej od warstw ludowych. Dopiero wojna rosyjsko-japońska, a raczej zawarty po niej, jako konsekwencya traktatu portsmoutskiego, traktat chińsko-japoński był pierwszą podwaliną, na której zaczęto budować most zgody między koroną a narodem. Korona poddała się przez ten traktat hegemonii japońskiej, widząc w tem drogę do wyzwolenia się z pod obcych wpływów, lud zaś powitał ten traktat — pierwszy z tych, które od lat kilkudziesięciu zawarto z obcemi państwami — jako zadatek lepszej przyszłości, jako pierwszy zadatek swej emancypacyi. Zwycięstwa japońskie i na koronę i na lud oddziały fascynująco i przyczyniły się do tego, że stanęła między nimi milcząca umowa co do konieczności reform.

Poważny ruch reformistyczny rozpoczął się zaraz nazajutrz po preliminaryach pokojowych między Rosyą a Japonią. Było to w sierpniu ubiegłego roku. Do Pekinu przyjechał wówczas Tao-Tang, gubernator Hu-nanu i w imieniu całej grupy reformistów przedstawił koronie szereg żądań. Żądania te były na początek bardzo skromne, w istocie swojej wszakże daleko idące: chodziło o reformę egzaminów administracyjnych w celu ukrócenia nadużyć mandarynów i t. p. rzeczy. Do żądań tych przyłączyli się zaraz ministrowie pekińscy i zadecydowano, że żądaniu reformistów stanie się zadość, a ponieważ owe zmiany czysto administracyjne, będące wszelako podstawą ustroju politycznego Chin wymagały uprzednich studyów nad państwowością innych krajów, więc postanowiono wysłać komisyę a raczej szereg komisyj do Europy i Ameryki w celu zapoznania się z mechanizmem politycznym główniejszych państw konstytucyjnych.

Raport, który złożono regentce chińskiej po odbytych studyach donosi, że jedyną drogą do wyjścia z dzisiejszej sytuacyi jest przyjęcie wzorem mocarstw cywilizowanego świata konstytucyjnych form, które jedynie mogą wybawić Chiny z jej poniżającego wobec innych państw stanowiska, a wewnętrznie znów przyczynią się do zupełnego odrodzenia narodu.

Stosując się do rad zawartych w raporcie regentka chińska wydała też swój manifest obwieszczający, że za 5 lat najdalej Chiny zostaną obdarzone nową formą rządu. Tymczasem zaś powołała komisyę, złożoną z najwyższych dygnitarzy państwowych w celu zrewidowania ustaw krajowych i przygotowania gruntu pod przyszłą budowę. Przedewszystkiem ma się ona zająć zredagowaniem pierwszych zasad wolności obywatelskich tj. prawami o stowarzyszeniach i ustawą prasową, potem zaś wziąć się ma do rewizyi i reformy ustroju sądowego, systemu nauczania, systemu finansowego oraz systemu obrony krajowej. Gdy te wstępne prace będą ukończone a naród powoli będzie wdrożony do brania udziału w sprawach państwowych, powołanem zostanie prawdziwe przedstawicielstwo narodowe.

Poważnie więc, jak widzimy, zapowiadają się reformy w państwie niebieskiem. Wprawdzie niema jeszcze parlamentu w europejskim tego słowa znaczeniu, ale bądź co bądź istnieje tam ciało, które chociaż mianowane wprost przez koronę, ma w swoich rękach cały jus ster państwowy i musi się liczyć z opinią publiczną.

Może Rosya weźmie stamtąd przykład?

Przegląd społeczny.

Zgromadzenie metalowców w Krakowie odbyło się w piątek dnia 14 września b. r. w Związku stowarzyszeń robotniczych przy licznym udziale robotników. Przewodniczył tow. Miarczyński, który w swojem przemówieniu wyświetlił zgromadzonym postępowanie p. Jarry wobec strejkujących drikerów, i gdy robotnicy zażądali skrócenia dnia roboczego to p. Jarra dał odpowiedź, że raczej zamknie fabrykę i ludzi powyrzuca a nie da robotnikom tego, czego żądają; z drugiej zaś strony udaje się ten pan do Wiednia po drikerów i obiecuje po 30 kor. tygodniowo zapłaty, a tutejszym drikerom płaci po 2 K. dziennie. Ale niestety nieudało się p. Jarrze sprowadzić strejkbrecherów z Wiednia. Do drugiego punktu: znaczenie kapitału i jego rozwój, przemawiał tow. dr. J. Drobner, zgromadzeni z zapałem wysłuchali i oklaskami przyjęli referat. Zamykając zgromadzenie tow. Miarczyński wniósł okrzyk na cześć organizacyi metalowców, zachęcając drikerów do wytrwałej walki aż do ukończenia strejku.

Z ruchu robotniczego w Tarnowie. Ruch zawodowy i polityczny rozwija się u nas zwolna, ale stale. Coraz nowe zawody organizują się, coraz nowe stają pod „Czerwonym sztandarem". Do starych organizacyj przybyła organizacya budowlanych i kaflarzy. Ta ostatnia już doświadczyła na sobie korzyści organizacyi, gdyż bez strejku zmusiła tarnowskich przedsiębiorców do uznania cennika przemyskiego. Właśnie 8 b. m. odbyła ona zgromadzenie, na którem, po referacie tow. Gallasa o organizacyi, wybrano przewodniczącym tow. Cyconia. Wybrali również deputacyę, która ma zmusić pracodawców do wprowadzenia w czyn danych poprzednio przyrzeczeń.

W celu omówienia obecnej sytuacyi politycznej i naszych zadań zwołał miejscowy komitet na 8 b. m. konferencyę mężów zaufania, na której wyczerpująco referował na powyższy temat tow. dr E. Bobrowski z Krakowa. W dyskusyi zabierali głos tow. Ryglowski, Hutter, Strzałkowski, Gallas, Neiss i inni.

Drugim punktem porządku dziennego była sprawa tarnowskiej kasy chorych. Referował tow. Łabędź. Kierownik cegielni w Krzyżu Zygmunt przytoczył cały szereg jaskrawych nadużyć. I tak: Robotnik chory z Krzyża, o 4 klm. oddalonego, musiał kilka razy chodzić do kasy, bo go nie mogli znaleźć zapisanego. Dopiero za okazaniem fabrycznej listy płatniczej bywał opatrzony, a nieraz dopiero w oczach mówcy bywał wciągany do ksiąg. Gdy poprzednio dwóch lekarzy nie mogło sobie dać rady, teraz jeden musi wystarczyć. Wskutek tego dzieją się takie rzeczy, jak np. że lekarz, nie oglądnąwszy żadnego, dla 3 chorych wspólną receptę pisze, że wizyty lekarskie są raczej musztrą, a nie badaniem itd. Gdy zarząd cegielni zażądał, aby, jak ustawa przepisuje, kasa dostarczyła mu bandaży itp. rzeczy, potrzebnych w razie jakiegoś wypadku, kasa chorych przysłała mu nieco zużytej waty.

W dyskusyi cały szereg towarzyszów piętnował sposób wyborów, a szczególnie to, że wybory u nas nie odbywają się w jednym wspólnym lokalu, lecz po fabrykach i warsztatach. Dr Simche proponował, aby robotnicy na wypadek, gdyby zarząd zamierzał urządzić wybory w stary sposób, urządzili miejscowy strejk generalny.

Uchwaliwszy cały szereg wniosków, które wprowadzone w czyn, pchną ruch w Tarnowie i okolicy naprzód, konferencya po 5-godzinnych obradach została zamknięta.

Gruźlica porwała nam jednego z najdzielniejszych towarzyszów Dawida Weina, tkacza. Był on od szeregu lat kierownikiem tarnowskiej grupy centralnego Związku tkaczy i funkcyę tę spełniał z niezwykłą wytrwałością i sumiennością. Zmarł przedwcześnie w 37 roku życia. Zgon jego wywołał powszechny żal wśród towarzyszów.

Strejk w pracowni szewskiej Józefa Koby w Jarosławiu trwa dalej z powodu nie przyjęcia żądań robotników.

Żądania te były następujące:

1) Podwyższenie płacy do wysokości w innych pracowniach w Jarosławia. 2) Zmiana lokalu pracowni. 3) Nieoddalenie z powodu bojkotu żadnego robotnika. Tych żądań nie chciał uznać p. Koba. Pracownia u p. Koby to istna mordownia, przerobiona z wychodka, pod podłogą jest umieszczony kanał, przy drzwiach zaś wchodowych jeden, przy okinie drugi wychodek. Robotnicy pracujący w pracowni p. Koby wyglądają raczej na mumie niż na żywe istoty. Pracownia ta jest około 4 metry długa a dwa i pół metra szeroka, pracuje w niej 14 ludzi. Dziwna rzecz, że komisya sanitarna dotychczas nie zamknęła tej mordowni.

Pan Koba, który sprowadzał prelegentów z wykładami o hygienie pomieszkaniowej dziś nie może zrozumieć, że lokal taki jest wprost zabójczym dla robotnika. Warunek nieoddalenia robotników z powodu strejku przyznaje p. Koba, że jest zupełnie słusznym, jednakowoż on nie może się zgodzić na to, bo to byłoby ograniczeniem jego osobistej wolności i terorem na nim wywartym i jedynie dla tego on się nie zgodzi. Panie Koba! dopiero tydzień bojkotu to się pan na nic nie godzi ale wktótce pan przyjdziesz i będziesz jeszcze prosił, aby robotnicy z panem przystąpili do ugody. Czy myślisz pan, że będziesz sprowadzał tandytę po 6 lub 7 koron, a że publika nie wiedząc o tym wybiegu, będzie płaciła po 14—16 koron? Robotnicy zawiadomią publikę o pańskich oszukańczych machinacyach, a wówczas pan zmiękniesz.

MAŁY FELIETON.

Specyalny korespondent.

Na pierwszą wieść o pogromie w Siedlcach, sprężysta redakcya „Opinii narodowej" wyprawiła na miejsce specyalnego korespondenta. Był nim znany dziennikarz, Maryan Śliski, osoba szczupła, ruchliwa, o latających oczach i profilu Napoleona.

Tłok panował w wagonach. Na ławkach, przeznaczonych dla czterech osób, dnia tego mieściło się zgodnie po sześć i siedm. Przeważali żydzi, którzy, wbrew zwyczajowi, nie szwargotali ze sobą, lecz przerażonemi oczyma spoglądali w dal nieokreśloną. W kącie, zasłoniwszy twarz czerwoną włóczkową chustką, szlochała zgarbiona kobieta. Obok niej siwobrody starzec bezmyślnie co pewien czas wychudzoną ręką pocierał czoło.

Miarowy stuk pociągu... W oknach migają słupy telegraficzne, których druty podnoszą się i opuszczają, podnoszą i opuszczają... Czasem lokomotywa świśnie, ktoś do sąsiada coś szepnie, ktoryś pasażer westchnie i znów stuk, stuk, stuk...

— Państwo do Siedlec? — spytał uprzejmie Śliski, patrząc z gotowym już wyrazem współczucia na siwobrodego żyda.

Zagadnięty, jakby zbudzony, począł mrugać zaczerwienionemi powiekami i nie odrywając dłoni od czoła, po chwili dopiero wstrzymał zapatrzony wzrok na korespondencie.

— Państwo do Siedlec? — powtórzył jeszcze uprzejmiej współpracownik „Opinii narodowej".

— Do Siedlec — odpowiedział bezdźwięcznie żyd.

— Tam pewne rodzina...

Starzec zdawał się nie rozumieć. Opuścił dłoń na kolano i nieprzytomnie spoglądał na dziennikarza.

— Pewno ma pan tam kogoś z bliskich...

— Ona miała teraz urodzić...

— Kto?

— No kto?... Córka, Fajga!... Jeszcze niema roku, to ona wyszła za mąż... Ją zabili, ona nie żyje... Ona miała urodzić... To jej brzuch rozerwali i małe wyciągnęli i o ścianę rzucali... Jeszcze niema roku...

Śliski spiesznie zapisywał w notesie.

— Pasporty!...

Gruby feldfebel żandarmski przeciskał się między ławkami. Tuż za nim, stukając karabinami o podłogę, zwolna postępowali trzej żołnierze w żółtawo-szarych wytartych szynelach. Żandarm, opuszczając długą aleksandryjską brodę na udekorowane piersi, uważnie odczytywał legitymacye podróżnych, następnie wzrokiem lustrował właścicieli, oddawał dokumenty i przeciskał się dalej.

— Pasport! — krzyknął, zatrzymując się przy siwobrodym żydzie.

Starzec, przecierając czoło, patrzył nieprzytomnie.

— Nu, ty, pasport!...

— Paszport?

— Bieri jewo! — zwrócił się do żołnierza i podszedł do następnego pasażera.

Pan Śliski miał wszystko w porządku tak, że ledwo żandarm zbliżył się do niego, już swą książeczkę wyciągnął, książeczkę czyściutką, jakby dopiero co z policyi odebraną.

— Służę...

— Stupaj! — zawołał żołnierz, pchając ku drzwiom żyda.

— Mój tłomok... tam został mój tłomok...

Głuche uderzenie pięści i starzec znikł za drzwiczkami przedziału.

Żandarm oddał dziennikarzowi paszport i przyłożył dwa palce do czapki. Pan Śliski uśmiechnął się uprzejmie, pocześtował papierosem i znów notes wyciągnął.

Tymczasem za szybami już poczerniało, a podróżni zasypiali jeden po drugim, przybierając dziwaczne, często śmieszne pozy. Zabawnie zwłaszcza wyglądała jakaś stara żydówka, której perūka przesunęła się na lewe ucho, a cała osoba stopniowo jakby w brzuch wsiąkała. Umieszczona pod sufitem, za dużym szklanym kloszem, świeca migotliwym blaskiem złociła krąg pośrodku wagonu, w cieniu zostawiając jego kąty.

Ale od wyjścia żandarma z mroku tego spoglądało wytrwale na korespondenta dwoje oczu. Chwilami nie widział ich, lecz wzrok ten czuł na sobie ustawicznie. Nie widział, czemu ten wzrok drażnił go i nie pozwalał spokojnie rozmyślać. A właśnie pragnął się skupić: chciał u-robić sobie zdanie o wypadkach ostatnich.

— Co to wszystko znaczy?... Co z tego będzie?... Kiedy się ta anarchia skończy?... Zamęt, straszny, nie dający się rozwikłać, zamęt... Kto wie, może to wszystko rzeczywiście Niemcy wywołują?... W każdym razie myśmy powinni stać na uboczu. Co nam do tego, że się Moskale ze sobą gryzą? Zresztą już na podstawie tych ulg, które rząd darował, możnaby rozpocząć płodną dla narodu pracę. Tolerancya religijna... Nie cofną. No, albo reforma szkolna! Możemy już zakładać Macierze i w duchu naszym kształcić młodzież... Cenzury niema... Wolność stowarzyszeń... To dużo, to bardzo dużo... Gdybyśmy byli narodem dzielnym... Ale co tu gadać. Przecież faktycznie społeczeństwo tego nie chce: powtarzają to wszystkie poważne, szanujące się pisma. Chcemy pracować nad sobą... Obce, stanowczo obce wpływy nam przeszkadzają... Niemcy, Żydzi, Moskale — ich robota dezorganizująca...

Tu wzrok Śliskiego padł mimowoli w róg wagonu. Tajemnicze oczy przyglądały mu się przenikliwie. Dreszcz go przeszedł. Ale postanowił nie spuszczać powiek. I oto, w miarę patrzenia, zaczął w mroku rozróżniać twarz natarczywego obserwatora. Twarz to była ściągła, ogolona — twarz polskiego robotnika-zawadyaki. Dziennikarz lubił takie fizyognomie.

Miłe uczucie, które ten typ w nim wywołał, zaczęło zwolna stracać niepokój, sprawiony wzrokiem pasażera.

— Pan do Siedlec?

— A panu cholera do tego!... Patrzcie go!... Będzie tu szpiclował...

Śliski spiesznie wyszedł z przedziału. Poszukał konduktora, dał mu rubla i dostał na cała noc coupé oddzielne.

Nazajutrz przybył do Siedlec; a nie chcąc narażać się na przykrości, unikał nawet najbardziej swojsko wyglądających swojaków i o robocie obcych żywiołów przewrotu poinformował się u bardzo uprzejmych oficerów, w kancelaryi policmajstra i u pięknego podpułkownika Tichanowskiego, który ma krzyż św. Jerzego na piersi za mężne dokonanie pogromu w Białymstoku.

Ben. H.

NADESŁANE.

(Za dział ten redakcya nie odpowiada.)

PODZIĘKOWANIE.

Ojciec mój, Jan Jachniak, miał zamiar mnie córce swojej, zabezpieczyć posag i wziął na ten cel policę Towarzystwa imienia „Gizeli", pod protektoratem Jej ces. i król. Wysokości Arcyksiężniczki Gizeli. Jednak, jak się to dzieje u nas ludzi, zawisłych od pracy rąk, już po kilku miesiącach przestał płacić. Zapomniało się w całości o tem. Przypadkowo dowiedziałam się od osoby, która również w Towarzystwie imienia „Gizeli" córkę ubezpieczyła, że towarzystwo to posiada specyalny fundusz dla wyposażania biednych dziewcząt.

Udałam się więc do Towarzystwa z prośbą i otrzymałam wczoraj 150 K w gotówce, za co temu humanitarnemu Towarzystwu składamy serdeczne podziękowanie.

Anna Kowalik z domu **Jachniak.**
Kraków, ulica Straszewskiego 4.
Jan Jachniak, w łaźni rzymskiej.
Kraków, ulica św. Sebastyana 11.

Wydawca: Ignacy Daszyński. — Redaktor odpowiedzialny: Gustaw Alojzy Titz. Z drukarni Józefa Fischera w Krakowie (Telefon Nr. 412).